FREUD

WIZERUNEK WŁASNY

ZYGMUNT FREUD

WIZERUNEK WŁASNY

PRZEŁOŻYŁ
Dr. H. ZAŁSZUPIN



WARSZAWA 1936

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA

I

Wielu współpracowników tego zbioru „Wizerunków Własnych" [1] rozpoczyna swój przyczynek rozważaniem szczególności i trudności podjętego zadania. Sądzę, iż muszę powiedzieć, że moje zadanie zostało nieco bardziej utrudnione, ponieważ kilkakrotnie już wydawałem opracowania podobne do tego, jakiego wymaga się tutaj, a wynikało z natury przedmiotu, że o mojej osobistej roli więcej było w nich mowy, niż to jest zazwyczaj przyjęte, lub wydaje się potrzebne.

Poraz pierwszy przedstawiłem rozwój i treść psychoanalizy w r. 1909 w pięciu wykładach wygłoszonych w Clark University w Worcester, Mass., dokąd zostałem zaproszony na dwudziestolecie powstania tej instytucji [2]. Dopiero niedawno uległem pokusie napisania przyczynku o treści podobnej do pewnego amerykańskiego dzieła zbiorowego, ponieważ wydawnictwo to „O początkach XX wieku" stwierdzało znaczenie psychoanalizy przez poświęcenie jej osobnego roz-

---

[1] Niniejsza praca ukazała się po raz pierwszy w tomie IV zbioru „Medycyna w wizerunkach własnych", wydanym przez prof. dr. L. R. Grote, nakładem Felixa Meinera w Lipsku, 1925 r.

[2] Ukazały się po angielsku w *American Journal of Psychology*, 1910; po niemiecku p. t. „O psychoanalizie" nakładem F. Deuticke, Wiedeń, wydanie 7-me, 1924.

działu[1]. Między zaś jednym a drugim ukazał się w r. 1914 „Przyczynek do historji ruchu psychoanalitycznego"[2], zawierający właściwie wszystko istotne, co miałbym na tem miejscu do zakomunikowania. Ponieważ nie mogę sam sobie przeczyć, a nie chciałbym powtarzać się bez zmian, muszę tutaj znaleźć nowy stosunek między subjektywnem a objektywnem przedstawieniem, między treścią o znaczeniu historycznem a biograficznem.

Urodziłem się 6-go maja 1856 r. we Freibergu na Morawach, małej mieścinie w obecnej Czechosłowacji. Rodzice moi byli Żydami; ja także pozostałem Żydem. Rodzina moja ze strony ojca żyła przez długi czas, o ile dobrze wiem, nad Renem (w Kolonji), skąd w 14-ym czy 15-ym wieku, wskutek prześladowania Żydów, uciekła na wschód i w ciągu wieku 19-go zawędrowała zpowrotem, przez Litwę i Galicję, do Austrji niemieckiej. Jako 4-letnie dziecko przybyłem do Wiednia, gdzie ukończyłem szkoły. W gimnazjum byłem przez siedem lat prymusem, miałem stanowisko uprzywilejowane, prawie mnie nie egzaminowano. Mimo, że żyliśmy w bardzo trudnych warunkach, ojciec mój żądał, abym w wyborze zawodu kierował się jedynie

---

[1] These eventful years. The twentieth century in the making as told by many of its makers. Two volumes. London and New York, The Encyclopaedia Britannica Company. Mój artykuł, przetłumaczony przez Dr. A. A. Brilla, tworzy rozdział LXXIII tomu drugiego.

[2] W *Jahrbuch der Psychoanalyse*, tom 6; ponownie w 1924 r., jako odbitka.

swojemi skłonnościami. Specjalnego zamiłowania do pracy lekarza i jego stanowiska nie odczuwałem w tych latach młodzieńczych, ani zresztą później. Ulegałem raczej jakiejś żądzy wiedzy, która jednak bardziej dotyczyła stosunków między ludźmi jako objektów naturalnych i nie znała wartości postrzegania, jako głównego środka jej zaspokojenia. Wczesne wniknięcie w historję biblijną, ledwie posiadłem sztukę czytania, utrwaliło, jak to znacznie później zrozumiałem, kierunek moich zainteresowań. Pod potężnym wpływem starszego nieco kolegi szkolnego, który stał się później znany jako polityk, również chciałem prawo studjować i działać społecznie. Przyciągała mnie jednak aktualna w owym czasie nauka Darwina, ponieważ roztaczała widoki na niezwykły postęp w pojmowaniu świata — i wiem, że usłyszenie ładnej rozprawy Goethego „Natura" w popularnym odczycie profesora Karola Brühla — nakrótko przed egzaminem dojrzałości — rozstrzygnęło o tem, że zapisałem się na medycynę.

Uniwersytet, na który wstąpiłem w r. 1873, przyniósł mi zrazu dotkliwe rozczarowania. Przedewszystkiem ubodło mnie to, że powinienbym się uważać za mniej wartościowego i narodowo nieprzynależnego, ponieważ byłem Żydem. Pierwsze odrzuciłem z całą stanowczością. Nigdy nie pojąłem, dlaczego miałbym się wstydzić swojego pochodzenia, czy rasy — jak wówczas zaczęto się wyrażać. Z nieprzyjęcia zaś mnie do narodowej wspólnoty zrezygnowałem bez wielkiego żalu. Mniemałem, że i bez takiego zaszeregowania

znaleźć się musi dla gorliwego współpracownika małe miejsce w ramach ludzkości. Ale ważnem następstwem tych pierwszych wrażeń uniwersyteckich było, że tak wcześnie pogodziłem się ze swoim losem znajdowania się w opozycji, i z klątwą, rzuconą przez „zwartą większość". W ten sposób została przygotowana pewna niezależność sądu.

Pozatem musiałem w pierwszych latach uniwersyteckich poczynić doświadczenie, że właściwość i wąskość moich uzdolnień zawodzą w wielu działach nauki, na które rzuciłem się w swym młodzieńczym zapale. Tak poznałem prawdziwość ostrzeżenia Mefista:

Vergebens, dass ihr ringsum wissenschaftlich schweift,
Ein jeder lernt nur, was er lernen kann.

W laboratorjum fizjologicznem Ernesta Brückego znalazłem wreszcie spokój i pełne zadowolenie, jak również osoby, które mogłem szanować i postawić sobie za wzór: samego mistrza Brückego i jego asystentów Zygmunta Exnera i Ernesta v. Fleischl-Marxowa, wybitną osobistość, który darzył mnie przyjaźnią. Brücke postawił mi zadanie z histologji układu nerwowego, które ku jego zadowoleniu umiałem rozwiązać i samodzielnie poprowadzić dalej. W instytucie tym pracowałem z krótkiemi przerwami od r. 1876 do 1882 r. i byłem powszechnie uważany za kandydata na najbliższy wakans asystentury. Nie pociągały mnie — z wyjątkiem psychjatrji — właściwe działy medyczne. Studjami medycznemi zaj-

mowałem się bardzo opieszale; dopiero w r. 1881, ze sporem więc opóźnieniem, zostałem promowany na doktora wszech nauk lekarskich.

Zwrot nastąpił w r. 1882, kiedy mój ponad wszystko czczony Nauczyciel naprawił szlachetną lekkomyślność mojego ojca, usilnie mnie upominając, abym ze względu na swoje złe położenie materjalne porzucił karjerę teoretyczną. Usłuchałem jego rady, opuściłem laboratorjum fizjologiczne i wstąpiłem do Szpitala Powszechnego jako wolontarjusz. Po pewnym czasie zostałem tam mianowany asystentem (Interne) i pracowałem na różnych oddziałach, przez pół roku również u Meynerta, którego dzieło i osoba już jako studenta mnie pociągały.

Pozostałem jednak w pewnem znaczeniu wierny poprzednio obranemu kierunkowi prac. Brücke wskazał mi był, jako przedmiot badania, na rdzeń jednej z najniższych ryb (ammocoetes-petromyzon); przeszedłem na układ nerwowy ośrodkowy ludzki, którego skomplikowany układ włókien oświetliło właśnie wtedy odkrycie Flechsiga o niejednoczesnem tworzeniu się otoczki myelinowej. Również i to, że zrazu obrałem sobie za przedmiot jedynie i wyłącznie rdzeń przedłużony, wskazywało na wpływ moich początkowych badań. W przeciwieństwie do rozproszenia, jakie znamionowało moje studja w pierwszych latach uniwersyteckich, rozwinęła się we mnie teraz skłonność do wyłącznego skupienia pracy na jednym materjale albo zagadnieniu. Skłonność ta mi pozostała i wywołała później zarzut jednostronności.

W istytucie anatomji mózgu byłem takim samym pracownikiem gorliwym, jak w instytucie fizjologicznym. W latach tych napisałem małe rozprawy o przebiegu włókien nerwowych i powstaniu ośrodków w rdzeniu przedłużonym i, bądź co bądź, zwrócił na nie uwagę Edinger. Pewnego dnia zaproponował mi Meynert, który otworzył mi swe laboratorjum— również kiedy nie pracowałem u niego — abym już ostatecznie zajął się anatomją mózgu, zapewniając, że mi odstąpi swoje wykłady, ponieważ czuje się zbyt stary, by operować metodami nowszemi. Odmówiłem, przestraszony wielkością zadania; wówczas już chyba się domyślałem, że genjalny ten człowiek nie był bynajmniej przychylnie do mnie usposobiony.

Anatomja mózgu, pod względem praktycznym, z pewnością nie stanowiła postępu wobec fizjologji. Rozpoczynając studja chorób nerwowych, liczyłem się z wymaganiami materjalnemi. Specjalność ta była wówczas w Wiedniu mało uprawiana, materjał był rozproszony po oddziałach chorób wewnętrznych, nie było sposobności wykształcenia się, trzeba było stać się własnym swym nauczycielem. Również Nothnagel, którego krótko przedtem, na zasadzie jego książki o lokalizacji w mózgowiu, powołano na katedrę, nie odróżniał neuropatologji od innych działów medycyny wewnętrznej. W oddali świeciło wielkie imię Charcota — i ułożyłem sobie plan, żeby w Wiedniu otrzymać docenturę chorób nerwowych, a potem, dla dalszej specjalizacji, pojechać do Paryża.

W ciągu następnych lat pracy asystenta szpitalnego opublikowałem szereg postrzeżeń o przypadkach schorzeń organicznych układu nerwowego. Stopniowo wnikałem w tę dziedzinę; potrafiłem tak ściśle lokalizować ognisko w rdzeniu przedłużonym, że anatomopatolog nie miał nic do dodania. Byłem pierwszy w Wiedniu, który skierował do sekcji przypadek z rozpoznaniem: *polyneuritis acuta*. Rozpoznania moje, które potwierdzała autopsja, stały się głośne i spowodowały napływ lekarzy amerykańskich, którym wykładałem na oddziale okropną angielszczyzną, demonstrując swoich chorych. O psychonerwicach nie miałem pojęcia. Kiedy razu pewnego przedstawiłem swoim słuchaczom neurotyka o trwałym bólu głowy jako przypadek przewlekłego ograniczonego zapalenia opon mózgowych, wszyscy oni, słusznie się zbuntowawszy, odstąpili mnie — i skończyła się moja przedwczesna działalność nauczycielska. Zaznaczam, dla usprawiedliwienia, że był to czas, kiedy i większe powagi wiedeńskie stawiały w przypadkach neurastenji rozpoznanie guzu mózgu.

Wiosną r. 1885 otrzymałem docenturę neuropatologji na podstawie moich rozpraw histologicznych i klinicznych. Wkrótce potem, dzięki gorącemu poparciu Brückego, przyznano mi większe stypendjum na podróż. Jesienią tego roku udałem się do Paryża.

Wstąpiłem jako élève do Salpêtrière; początkowo jednak nie zwrócono na mnie uwagi: byłem jednym z wielu przybyszów z obczyzny. Pewnego dnia usłyszałem, jak Charcot ubolewa, że od czasu wojny

tłumacz niemiecki jego wykładów nie dał znać o sobie; mówił, że byłoby mu miło, gdyby ktoś się podjął przełożenia na niemiecki jego „Nowych Wykładów". Zgłosiłem się pisemnie; pamiętam, że list mój zawierał zwrot, iż jestem obarczony tylko *aphasie motrice*, ale nie *aphasie sensorielle du français*. Charcot przystał na mnie, zadzierzgnął ze mną więzy osobiste i odtąd miałem swój pełny udział we wszystkiem, co dzia ło się w klinice.

W chwili, kiedy to piszę, otrzymuję liczne rozprawy i artykuły dziennikarskie z Francji, świadczące o gwałtownym sprzeciwie przyjęciu psychoanalizy i wysuwające najdowolniejsze twierdzenia o moim stosunku do szkoły francuskiej. Czytam np., że swój pobyt w Paryżu zużytkowałem na to, aby wniknąć w naukę P. Janeta, a potem uciekłem ze zdobyczą. Chcę więc wyraźnie zaznaczyć, że nazwisko Janeta nie bywało wogóle wspominane podczas mojego pobytu w Salpêtrière.

Największe wrażenie z wszystkiego, co u Charcota widziałem, zrobiły na mnie jego badania histerji, przy których częściowo jeszcze byłem obecny. A więc wykazanie prawdziwości i prawowitości zjawisk histerycznych („introite et hic dii sunt"), częstego występowania histerji u mężczyzn, powstawania porażeń i skurczów przez sugestję hipnotyczną, — wynik, że owe twory sztuczne wykazują, aż do najdrobniejszego szczegółu, te same charaktery co spontaniczne przypadki, często wywołane urazem. Niektóre demonstracje Charcota wydawały mi

się zpoczątku, jak i innym gościom lekarzom, dziwne — i skłaniały do wyrażenia sprzeciwu, który usiłowaliśmy wesprzeć powołaniem się na którąś z panujących teoryj. Charcot odpowiadał na takie zastrzeżenia zawsze uprzejmie i cierpliwie, ale również bardzo stanowczo. W ciągu jednej takiej dyskusji padło wyrażenie: *ça n'empêche pas d'exister*, które wryło mi się w pamięć na zawsze.

Jak wiadomo, nie wszystko, czego Charcot nas wtedy uczył, utrzymało się po dziś dzień. Część stała się niepewna, część najwidoczniej nie wytrzymała próby czasu. Ale dość z tego pozostało — i to jako trwały dorobek naukowy. Zanim opuściłem Paryż, omówiłem z mistrzem plan pracy nad porównaniem porażeń histerycznych z organicznemi. Chciałem przeprowadzić tezę, że, w histerji, porażenia i anestezje poszczególnych części ciała odgraniczają się tak, jak to sobie człowiek wyobraża pospolicie (nie anatomicznie). Charcot zgodził się ze mną, ale łatwo było poznać, że w gruncie rzeczy nie miał nabożeństwa do głębszego wnikania w psychologję nerwicy. Pochodził przecież ze szkoły anatomji patologicznej.

Zanim wróciłem do Wiednia, zatrzymałem się przez kilka tygodni w Berlinie, aby zdobyć wiadomości o ogólnych schorzeniach wieku dziecięcego. Kassowitz w Wiedniu, który kierował publiczną kliniką dziecięcą, przyrzekł mi, że urządzi mi tam oddział dziecięcych chorób nerwowych. W Berlinie znalazłem poparcie i miłe przyjęcie u Ad. Baginsky'ego. W ciągu następnych kilku lat wyszło z instytutu

Kassowitza szereg większych moich rozpraw o jednostronnych i obustronnych porażeniach pochodzenia ośrodkowego u dzieci. Naskutek tego powierzył mi później Nothnagel, w r. 1897, opracowanie odnośnego materjału w jego wielkim „Podręczniku ogólnej i szczegółowej terapji".

Jesienią 1886 r. otworzyłem w Wiedniu gabinet lekarski i poślubiłem dziewczynę, która od przeszło czterech lat czekała na mnie w dalekiem mieście. Wspominając ten czas, mogę tu opowiedzieć, że — jeśli nie zostałem sławny zamłodu — było to winą mojej narzeczonej. Postronne, lecz głębokie zainteresowanie spowodowało, że w r. 1884 sprowadziłem sobie od Mercka mało wówczas znany alkaloid kokainę i badałem jego działanie fizjologiczne. W trakcie tej pracy nadarzyła mi się sposobność odbycia podróży, aby zobaczyć się z narzeczoną, której od dwóch lat nie widziałem. Szybko zakończyłem badanie kokainy i przepowiedziałem w swojej rozprawie, że wkrótce wynikną nowe zastosowania tego środka. Namówiłem swego przyjaciela, okulistę L. Königsteina, by zbadał, jak dalece dadzą się zastosować do chorego oka właściwości znieczulające kokainy. Gdy wróciłem z urlopu, dowiedziałem się, że nie on, ale inny przyjaciel, Karol Koller (obecnie w New Yorku), któremu również opowiedziałem o kokainie, poczynił na oku zwierzęcem decydujące doświadczenie i przedstawił je na zjeździe oftalmologów w Heidelberdze. Koller słusznie uchodzi dlatego za odkrywcę znieczulenia miejscowego zapomocą kokainy, które dla

małej chirurgji stało się tak ważne; nie popamiętałem jednak swojej narzeczonej tej przeszkody ówczesnej.

Wracam do rozpoczęcia praktyki w Wiedniu w r. 1886 jako lekarz chorób nerwowych. Byłem zobowiązany zreferować w „Towarzystwie Lekarzy", co widziałem i czego nauczyłem się u Charcota. Ale doznałem złego przyjęcia. Osoby miarodajne, jak przewodniczący, internista Bamberger, oświadczyły, że to co opowiedziałem jest niewiarygodne. Meynert zwrócił się do mnie z żądaniem, abym takie przypadki, jakie przedstawiłem, wyszukał w Wiedniu i zademonstrował w Towarzystwie. Spróbowałem też tego, ale ordynatorzy, na których oddziałach znalazłem takie przypadki, odmówili mi obserwowania ich lub opracowania. Jeden z nich, stary chirurg, wykrzyknął poprostu: „Ależ panie kolego, jak może pan gadać takie głupstwa! Histeron (sic!) to przecie nazwa macicy. Jak może więc mężczyzna być histeryczny?" Daremnie temu przeciwstawiłem, że tylko chcę dysponować przypadkiem, że nie żądam przyjęcia mojej diagnozy. Wreszcie wyszukałem poza szpitalem przypadek klasycznej hemianestezji histerycznej u mężczyzny i zademonstrowałem go w „Towarzystwie Lekarzy". Tym razem zebrałem oklaski, pozatem jednak nie zainteresowano się mną. Wrażenie, iż wielkie powagi odrzuciły moje nowości, pozostało niezachwiane. Z histerją u mężczyzn i sugestywnem powstawaniem porażeń histerycznych znalazłem się w opozycji. Gdy wkrótce potem zamknięto mi dostęp do laboratorjum anatomji mózgu i przez

półrocza nie miałem lokalu, gdzie mogłyby odbywać się moje wykłady, wycofałem się z życia akademickiego i związkowego. W „Towarzystwie Lekarzy" nie byłem już od blisko pół wieku.

Chcąc żyć z leczenia chorych nerwowo, trzeba było, rzecz prosta, móc coś dla nich zrobić. Mój arsenał terapeutyczny zawierał jedynie broń dwojaką, elektroterapję i hipnozę, gdyż odsyłanie pacjenta do zakładu wodoleczniczego, po jednorazowej konsultacji, nie było dostatecznem źródłem zarobku. W elektroterapji polegałem na podręczniku W. Erba, w którym były do dyspozycji szczegółowe przepisy leczenia wszystkich objawów dolegliwości nerwowych. Musiałem niestety wkrótce doświadczyć, że zastosowanie tych przepisów nigdy nie pomagało; że to, co uważałem za wynik ścisłych spostrzeżeń, było konstrukcją fantastyczną. Przejrzenie, że dzieło największego nazwiska neuropatologji niemieckiej nie więcej chyba miało związku z rzeczywistością, niż sennik „egipski", jaki sprzedają w naszych ludowych księgarniach, było bolesne; ale dopomogło mi do zburzenia znowu nieco naiwnej wiary w autorytety, od której nie byłem jeszcze wolny. Tak więc odsunąłem aparat elektryczny, zanim jeszcze Möbius wypowiedział zbawcze słowo, że dobre wyniki leczenia elektrycznego u nerwowo chorych — kiedy wogóle się ukazują — są rezultatem sugestji lekarskiej.

Lepiej było z hipnozą. Jeszcze jako student byłem raz na publicznem przedstawieniu „magnetyzera" Hansena i zauważyłem, że jedna z osób doświad-



1891

czalnych, gdy popadła w stan kataleptycznego zdrętwienia, zbladła śmiertelnie — i tak pozostała przez cały czas trwania tego stanu. Przeświadczenie moje o prawdziwości zjawisk hipnotycznych zostało tem mocno utwierdzone. Wkrótce potem stanął na tem stanowisku, jako przedstawiciel nauki, Heidenhain. Ale nie powstrzymało to profesorów psychjatrji od pogardliwego traktowania hipnotyzerów i oświadczenia na długi czas zgóry, że hipnoza to coś oszukańczego a nadto niebezpiecznego. W Paryżu widziałem, że posługiwano się bez zastrzeżeń hipnozą jako metodą, celem wywołania u chorego objawów i zniesienia ich zpowrotem. Potem doszła nas wiadomość, że w Nancy powstała szkoła, która ze szczególnem powodzeniem i w szerokim zakresie stosuje sugestję, z hipnozą lub bez, w celach terapeutycznych. Całkiem naturalnie przyszło do tego, że w pierwszych latach mojej działalności lekarskiej stała się sugestja hipnotyczna — pomijając przypadkowe raczej, nie systematyczne metody psycholecznicze — głównym moim środkiem roboczym.

Oznaczało to wprawdzie rezygnację z leczenia organicznych chorób nerwowych, ale nie robiło to wielkiej różnicy. Z jednej bowiem strony, leczenie tych stanów nie dawało wogóle pomyślnych widoków, z drugiej zaś, w praktyce prywatnej, nie stanowiła mała ilość cierpiących na nie chorych wobec masy nerwowców, którzy nadomiar mnożyli się w ten sposób, że latali niewyleczeni od lekarza do lekarza. Pozatem zaś stosowanie hipnozy było naprawdę zwodnicze. Poraz

pierwszy przezwyciężało się poczucie swojej niemocy; reputacja cudotwórcy była bardzo pochlebna. Jakie były braki tego procederu, miałem to odkryć dopiero później. Narazie miałem dwie tylko bolączki, mianowicie, że nie udawało się hipnotyzować wszystkich pacjentów, oraz, że nie można było wprawić chorego w tak głęboką hipnozę, jakby się chciało. Latem r. 1889, celem udoskonalenia swojej techniki hipnotycznej, udałem się do Nancy, gdzie spędziłem kilka tygodni. Widziałem wzruszającego starego Liébault przy pracy nad biednemi kobietami i dziećmi robotników; byłem świadkiem zadziwiających eksperymentów Bernheima, czynionych na jego pacjentach szpitalnych, a najsilniejsze wrażenie zrobiła na mnie możliwość potężnych procesów psychicznych, które przecież nie dochodzą do ludzkiej świadomości. Nakłoniłem jedną ze swoich pacjentek, aby przyjechała do Nancy. Była to dystyngowana, genjalnie zdolna histeryczka, która została mi powierzona, gdyż nie wiedziano już, co z nią począć. Przez wpływ hipnotyczny umożliwiłem jej ludzką egzystencję i zawsze mogłem ją wydźwignąć z jej ciężkiego stanu. To, że po pewnym czasie miewała nawroty, przypisywałem w ówczesnej niewiedzy swojej temu, że jej hipnoza nigdy nie osiągnęła stopnia somnambulizmu z amnezją. Teraz kilkakrotnie poczynił z nią próby Bernheim, ale nie uzyskał lepszego wyniku. Otwarcie mi przyznał, że wielkie swe rezultaty lecznicze zapomocą sugestji osiąga on tylko w szpitalnej swej praktyce, a nie również u pacjentów prywatnych. Miałem z nim

wiele zajmujących rozmów i podjąłem się niemieckiego przekładu obu jego dzieł o sugestji i jej działaniu leczniczem.

W latach 1886 — 1891 mało pracowałem naukowo i ledwie co wydałem drukiem. Musiałem sobie radzić w swoim nowym zawodzie i zapewnić byt sobie i wzrastającej szybko rodzinie. W r. 1891 ukazała się pierwsza z rozpraw o porażeniach pochodzenia ośrodkowego u dzieci, napisana wespół z moim przyjacielem i asystentem dr. Oskarem Rie. Tegoż roku, naskutek zaproszenia mnie do współpracy w podręczniku medycyny, rozstrząsnąłem teorję afazji, w której panowało wówczas stanowisko Wernicke - Lichtheima, opierające się na czysto lokalizacyjnym punkcie widzenia. Owocem tej pracy była mała książka krytyczno-spekulatywna p t. „O pojmowaniu afazji". Teraz jednak muszę prześledzić, jak doszło do tego, że badanie naukowe stało się znowu główną treścią mojego życia.

II

Uzupełniając swoje przedstawienie wcześniejsze, muszę oświadczyć, że od początku, poza sugestją hipnotyczną, miałem dla hipnozy inne zastosowanie. Posługiwałem się nią celem wybadania chorego co do historji powstania jego objawu, której na jawie często wcale nie mógł opowiedzieć, lub tylko bardzo niedokładnie. Proceder ten nietylko wydawał się skuteczniejszy, niż sam jeno rozkaz lub zakaz sugestywny; zaspokajał również żądzę wiedzy lekarza, który miał przecież prawo dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu zjawiska, do którego zniesienia dążył przez jednostajne sugestywne postępowanie.

Doszedłem zaś do tej metody w sposób następujący. Będąc jeszcze w laboratorjum B r ü c k e g o poznałem dr. Józefa B r e u e r a, jednego z najpoważniejszych praktyków wiedeńskich, który miał jednak również przeszłość naukową, gdyż kilka rozpraw o nieprzemijającej wartości na temat fizjologji oddychania i narządu równowagi było jego pióra. Był to człowiek niepospolitej inteligencji, o 14 lat starszy ode mnie. Stosunki między nami wkrótce się zacieśniły. B r e u e r stał się moim przyjacielem i doradcą w trudnych chwilach życia. Stało się naszym zwyczajem dzielić się wszystkiemi zainteresowaniami naukowemi. Oczywiście, ja byłem tu stroną obdarowywaną. Rozwój

psychoanalizy kosztował mnie później przyjaźń Breuera. Nie było mi łatwo zapłacić zań tę cenę, ale było to nieuniknione.

Breuer, zanim jeszcze wyjechałem do Paryża, zakomunikował mi o przypadku histerji, który leczył w latach 1880 — 1882 w sposób szczególny, przyczem udało mu się wniknąć głęboko w spowodowanie i znaczenie histerycznych objawów. Stało się to więc za czasów, gdy rozprawy Janeta należały jeszcze do przyszłości. Breuer kilkakrotnie czytał mi urywki historji choroby, z których wyniosłem wrażenie, że dla zrozumienia psychonerwicy dokonano tu więcej, niż kiedykolwiek dotąd. W duchu postanowiłem zawiadomić o tem odkryciu Charcota, gdybym pojechał do Paryża, i tak też potem postąpiłem. Ale mistrz nie okazał zainteresowania mojemi pierwszemi napomknieniami — tak, że do sprawy już nie powróciłem, a i w duchu jej zaniechałem.

Wróciwszy do Wiednia, zająłem się znowu spostrzeżeniem, poczynionem przez Breuera, i kazałem sobie więcej o niem opowiedzieć. Pacjentka była młodą dziewczyną o wykształceniu i uzdolnieniu niezwykłem; zachorowała, pielęgnując serdecznie kochanego ojca. Kiedy Breuer zaczął ją leczyć, przedstawiała ona pstry obraz porażeń ze skurczami, hamulcami i stanami rozstroju psychicznego. Lekarz, dzięki przypadkowemu spostrzeżeniu, pojął, że można ją uwolnić od zmącenia świadomości, jeśli naprowadzić ją na to, aby w słowach dała wyraz fantazji afektywnej, której właśnie ulegała. Doświadczenie to wy-

zyskał Breuer do metody leczniczej. Wprawiał chorą w stan głębokiej hipnozy i kazał jej opowiadać każdorazowo o tem, co ją gnębiło. Kiedy napady rozstroju depresyjnego zostały w ten sposób przezwyciężone, zastosował on ten sam proceder dla zniesienia jej hamulców i cielesnych zakłóceń. Na jawie, podobnie jak inni chorzy, nie umiała dziewczyna powiedzieć, jak powstały jej objawy, i nie znajdowała związku między niemi a jakiemikolwiek wrażeniami swego życia. W stanie hipnozy odkrywała natychmiast poszukiwaną łączność. Okazało się, że wszystkie jej objawy dotyczyły silnych przeżyć podczas pielęgnowania chorego jej ojca, czyli że coś oznaczały i odpowiadały pozostałościom lub reminiscencjom tych sytuacyj afektywnych. Zazwyczaj działo się tak, że u łoża chorego ojca musiała ona stłumić jakąś myśl lub impuls; na miejsce tego impulsu, w jego zastępstwie, występował potem objaw. Z reguły jednak objaw nie był pozostałością jednej jedynej sceny „urazowej", ale wynikiem zesumowania licznych sytuacyj podobnych. Gdy chora teraz w stanie hipnozy wspominała halucynacyjnie taką sytuację, i stłumioną dawniej czynność psychiczną, uzupełniając, doprowadzała do końca pod działaniem swobodnie rozwiniętego afektu, objaw był starty i więcej nie występował. Dzięki tej metodzie udało się Breuerowi w ciągu długiej i mozolnej pracy uwolnić chorą od wszystkich jej objawów.

Chora wyzdrowiała i odtąd była zdrowa, a nawet zdolna do ważnych czynności. Ale nad zakończeniem

leczenia ciążyła niejasność, której mi Breuer nigdy nie wyświetlił; nie mogłem też zrozumieć, dlaczego on swoje bezcenne, jak sądziłem, poznanie tak długo trzymał w tajemnicy, zamiast wzbogacić niem naukę. Następne jednak pytanie brzmiało, czy można uogólnić to, co Breuer znalazł w jednym jedynym przypadku chorobowym. Rzeczy odkryte przez Breuera wydawały mi się tak zasadniczej natury, iż nie mogłem uwierzyć, aby nie odnaleziono ich w którymkolwiek przypadku histerji, gdyby w jednym zostały udowodnione. Ale tylko doświadczenie mogło o tem rozstrzygnąć. Zacząłem więc u swoich chorych powtarzać badania Breuera i, zwłaszcza kiedy po wizycie u Bernheima w r. 1889 przekonałem się o ograniczeniu wydajności sugestji hipnotycznej, nic innego wogóle już nie robiłem. Gdy przez szereg lat, w każdym przypadku histerji nadającym się do takiego leczenia, zawsze znajdowałem tylko potwierdzenie, i gdy rozporządzałem już pokaźnym materjałem obserwacyjnym, analogicznym do spostrzeżeń Breuera, zaproponowałem mu wspólne napisanie rozprawy, czemu się początkowo gwałtownie opierał. Wkońcu ustąpił, zwłaszcza, że tymczasem część jego rezultatów — sprowadzenie objawów histerycznych do wrażeń życiowych, oraz zniesienie ich przez hipnotyczne odtworzenie tych wrażeń — została *in statu nascendi* wyprzedzona przez rozprawy Janeta. W r. 1893 opublikowaliśmy tymczasowe doniesienie „O psychicznym mechaniźmie zjawisk hi-

sterycznych". W r. 1895 ukazała się nasza książka „Studja nad histerją".

Jeśli opis dotychczasowy wzbudził w czytelniku mniemanie, że „Studja nad histerją", we wszystkiem, co jest ich materjalną treścią, były duchową własnością Breuera, odpowiada to dokładnie temu, co zawsze twierdziłem, a co również tym razem chciałem wypowiedzieć. Współudział mój w wypracowaniu teorji, której próbą jest ta książka, nie da się już dzisiaj ustalić. Teorja ta jest skromna, nie wykracza prawie ponad bezpośredni wyraz spostrzeżeń, nie dąży do zgłębienia natury histerji, lecz tylko do oświetlenia powstania jej objawów. Podkreśla ona przytem znaczenie życia afektywnego, ważność rozróżnienia psychicznych czynności nieświadomych a świadomych (lepiej: zdolnych do świadomości), wprowadza czynnik dynamiczny przez ujęcie objawu jako powstałego z zatamowania jakiegoś afektu, oraz ekonomiczny — przez ujęcie tegoż objawu jako wyniku przemiany pewnej ilości energji, która zostałaby w inny sposób użyta (t. zw. konwersja). Metodę naszą nazwał Breuer katartyczną; jako jej zamiar leczniczy podano, że chodzi o to, aby sumę afektu, zużytą na stworzenie objawu i która, na fałszywy tor skierowana, niejako tam ugrzęzła, wyprowadzić na drogę normalną, gdzie znalazłaby ujście (odreagować). Praktyczny rezultat metody katartycznej był świetny. Braki, które okazały się później, były brakami wszelkiego hipnotycznego leczenia. Dziś jeszcze istnieje pewna ilość psychoterapeutów, którzy pozostali przy

katartycznej metodzie Breuera i bardzo ją sobie chwalą. Podczas wojny światowej, w leczeniu neurotyków wojennych armji niemieckiej, okazała się ona w rękach E. Simmla znowu skuteczna jako skrócony proceder leczniczy. O seksualności mało jest mowy w teorji katartycznej. W historjach chorobowych, do których się przyczyniłem w „Studjach nad histerją", grają pewną rolę momenty z życia seksualnego, ale ledwie inaczej są oceniane, niż inne wzruszenia afektywne. O sławnej dziś pierwszej swojej pacjentce opowiada Breuer, że seksualność była u niej zadziwiająco nierozwinięta. Ze „Studjów nad histerją" łatwo byłoby się domyśleć, jakie znaczenie ma seksualność dla etjologji nerwic.

Następującą teraz część rozwoju, przejście od katartycznej teorji do właściwej psychoanalizy, kilkakrotnie tak dokładnie już opisywałem, że trudno mi będzie powiedzieć tu co nowego. Zdarzeniem, od którego to się zaczęło, było wycofanie się Breuera z naszej wspólnoty roboczej — tak, że sam musiałem zarządzać jego schedą. Wcześnie już powstały różnice zdań między nami, które jednak nie uzasadniały rozłamu. W kwestji, kiedy proces psychiczny staje się chorobotwórczy, t. zn. wyklucza zakończenie normalne, przyznawał Breuer pierwszeństwo teorji niejako fizjologicznej; uważał, że procesy, które powstały w stanach wyjątkowych, hipnoidalnych, wyłamują się zpod przeznaczenia zwykłego. Temsamem postawione było nowe pytanie, mianowicie o pochodzeniu takich hipnoidów. Ja natomiast przypuszczałem raczej



grę sił, działanie zamiarów i skłonności tak, jak one są widoczne w życiu normalnem. W ten sposób stanęła „histerja hipnoidalna" przeciwko „nerwicy obronnej". Ale te i tym podobne przeciwieństwa nie odwróciłyby Breuera od sprawy, gdyby nie doszły inne momenty. Jednym z nich było z pewnością to, że jako internista i lekarz wielu rodzin był bardzo zajęty i nie mógł, jak ja, poświęcić wszystkich sił pracy katartycznej. Następnie podziałało na niego przyjęcie, jakiego doznała nasza książka tak w Wiedniu jak w Niemczech. Jego pewność siebie i odporność nie były na poziomie pozostałej jego organizacji duchowej. Kiedy Strüppel np. dał „Studjom" ostrą odprawę, ja śmiałem się z tej bezrozumnej krytyki, ale Breuer się martwił i upadł na duchu. Najbardziej zaś przyczyniło się do jego postanowienia, że moje dalsze prace własne poszły w kierunku, z którym daremnie starał się pogodzić.

Teorja, którą w „Studjach" usiłowaliśmy zbudować, była przecież jeszcze bardzo wadliwa; zagadnienie etjologji zwłaszcza, pytanie, na jakim gruncie powstaje proces chorobotwórczy, ledwie było poruszone. Szybko wzrastające doświadczenie pokazało mi teraz, że za objawami psychonerwicy działały nie wzruszenia afektywne dowolne, lecz stale wzruszenia natury seksualnej, — bądź aktualne seksualne konflikty, bądź następstwa seksualnych przeżyć dawniejszych. Nie byłem przygotowany na ten rezultat; nie miało w nim udziału moje oczekiwanie; do badania neurotyków przystąpiłem był całkiem prostodusznie. Kiedy

w r. 1914 pisałem „Przyczynek do historji ruchu psychoanalitycznego", wypłynęło we mnie wspomnienie o pewnych zdaniach Breuera, Charcota i Chrobaka, z których mógłbym był wcześniej zdobyć takie poznanie. Ale wtedy nie rozumiałem, co te powagi miały na myśli; powiedzieli mi więcej, niż sami wiedzieli, niż gotowi byli twierdzić. To, co od nich usłyszałem, drzemało we mnie bezczynnie, aż ukazało się przy sposobności badań katartycznych jako pozornie oryginalne poznanie. Nie wiedziałem wtedy również, że, podciągając histerję pod seksualność, wróciłem do najdawniejszych czasów medycyny i nawiązałem do Platona. Dowiedziałem się o tem dopiero później z artykułu Havelock Ellisa.

Pod wpływem niespodzianego swojego odkrycia zrobiłem teraz krok, ciężarny w skutki. Pominąłem histerję i zacząłem badać życie seksualne t. zw. neurasteników, którzy licznie zgłaszali się w mojej praktyce prywatnej. Eksperyment ten kosztował mnie wprawdzie moją popularność jako lekarza, ale przyniósł mi przekonania, które dziś jeszcze, prawie 30 lat później, pozostały niewzruszone. Dużo trzeba było przezwyciężyć zakłamania i tajemniczości; kiedy jednak to się udało, widać było, że u wszystkich tych chorych zachodzą poważne nadużycia czynności seksualnej. Wobec częstości — z jednej strony, takich nadużyć, a z drugiej — neurastenji, częste spotykanie ich razem nie miało oczywiście wielkiej siły dowodu; ale też nie poprzestałem na tym jednym prostym fakcie. Ściślejsze spostrzeżenia skłoniły mnie do tego, aby z pstro-

kacizny obrazów chorobowych, które nazywano neurastenją, wydobyć dwa typy zasadniczo różne, co mogły występować w kombinacji dowolnej, ale były postrzegalne i w czystej postaci. W jednym typie — zjawiskiem centralnem, z jego równoważnikami, postaciami pierwotnemi i przewlekłemi objawami zastępczemi, — był napad lękowy; nazwałem go dlatego nerwicą lękową. Nazwę neurastenji ograniczyłem do drugiego typu. Teraz łatwo było stwierdzić, że każdemu z tych typów odpowiadała, jako moment etjologiczny, inna anomalja życia seksualnego (coitus interruptus, zawiedzione wzruszenie, tutaj wstrzemięźliwość płciowa, tam nadmierna masturbacja, częste polucje). W niektórych szczególnie pouczających przypadkach, kiedy następował niespodziewany zwrot obrazu chorobowego od jednego typu do drugiego, można było dowieść, że u podstawy była odpowiednia zmiana reżimu seksualnego. Jeśli udawało się nadużycie odstawić i zastąpić normalną aktywnością płciową, opłacało się to uderzającem polepszeniem stanu.

Tak doszedłem do poznania nerwic wogóle jako zakłóceń czynności seksualnej, a mianowicie t. zw. nerwic aktualnych jako bezpośredniego toksycznego wyrazu, psychonerwic zaś jako psychicznego wyrazu tych zakłóceń. To postawienie sprawy zaspokoiło moje sumienie lekarskie. Spodziewałem się, że wypełniłem lukę w medycynie, która w tak ważnej pod względem biologicznej czynności nie chciała brać pod uwagę innego uszkodzenia, jak tylko przez infekcję lub

poważną wadliwość anatomiczną. Pozatem mogła koncepcja lekarska pysznić się tem, że seksualność nie była przecież tylko kwestją psychiczną. Miała również swoją stronę cielesną, można jej było przypisać specjalny jakiś chemizm i wyprowadzić wzruszenie seksualne z obecności pewnych, nieznanych jeszcze ciał. Musiał też istnieć ważki powód po temu, że prawdziwe, spontaniczne nerwice nie okazywały tyle podobieństwa z żadną grupą chorobową, co ze zjawiskami intoksykacji i wstrzemięźliwości, wywołanemi przez wprowadzenie i niedostatek pewnych toksycznie działających ciał, albo z chorobą Basedowa, której znana jest zależność od wytworu gruczołu tarczykowego.

Nie miałem później sposobności wrócić do badań nad nerwicami aktualnemi. Również i inni nie rozwinęli tej części mojej pracy. Kiedy dzisiaj patrzę wstecz na swoje wyniki ówczesne, mogę je uznać za pierwsze, surowe schematyzacje dużo bardziej chyba skomplikowanego stanu rzeczy. Ale dziś jeszcze wydają mi się one słuszne naogół. Chętnie byłbym poddał później badaniu psychoanalitycznemu przypadki młodocianej czystej neurastenji; niestety, złożyło się inaczej. Chcę zaznaczyć, uprzedzając nieporozumienia, że daleki jestem od zaprzeczania istnieniu w neurastenji konfliktu psychicznego i neurotycznych kompleksów. Twierdzę tylko, że objawy tych chorych nie są psychicznie zdeterminowane i nie dają się analitycznie rozczynić, ale powinny być rozumiane jako bezpośrednie toksyczne następstwa zakłóconego chemizmu seksualnego.

Kiedy w następujących po „Studjach" latach doszedłem do tych poglądów o etjologicznej roli seksualności w nerwicach, wygłosiłem o nich kilka odczytów w stowarzyszeniach lekarskich; ale spotkałem się tylko z niewiarą i przeczeniem. Breuer kilka razy jeszcze spróbował przechylić szalę na moją korzyść, rzucając na nią wielką wagę swego znaczenia osobistego; ale nic nie osiągnął, i było widoczne, że uznanie etjologji seksualnej sprzeciwia się i jego skłonnościom. Mógłby mnie zwyciężyć lub wprowadzić w zakłopotanie przez wskazanie na swoją własną pierwszą pacjentkę, u której momenty seksualne nie grały rzekomo żadnej roli. Nigdy jednak tego nie zrobił. Przez długi czas tego nie rozumiałem, aż nauczyłem się zinterpretować należycie ten przypadek i, według niektórych dawniejszych uwag Breuera, zrekonstruować zakończenie jego leczenia. Kiedy praca katartyczna była zdawało się skończona, wystąpił nagle u dziewczyny stan „miłości przeniesieniowej", którego Breuer nie powiązał z jej stanem chorobowym — tak, że wycofał się oszołomiony. Było mu widocznie przykro wspominać o tym pozornie nieszczęśliwym wypadku. W zachowaniu się wobec mnie wahał się Breuer przez chwilę między uznaniem a ostrą krytyką, potem przyłączyły się przypadkowości, jakich nigdy nie brak przecież w naprężonych sytuacjach — i rozeszliśmy się.

Dalszem następstwem mojego zajęcia się postaciami nerwowości ogólnej było to, że zmieniłem technikę metody katartycznej. Zaniechałem hipnozy

i próbowałem zastąpić ją inną metodą, ponieważ chciałem przemóc ograniczenie terapji do stanów postaciowo histerycznych. Ze wzrastającem doświadczeniem nabyłem też dwa ważkie zastrzeżenia przeciwko stosowaniu hipnozy nawet przy katartycznej metodzie. Pierwszem było, że i najpiękniejsze wyniki bywały jakby nagle starte, gdy zmącił się osobisty stosunek do pacjenta. Można je było wprawdzie przywrócić, znajdując sposób pojednania się z chorym; ale była to nauczka, że osobisty afektywny stosunek potężniejszy jest przecież, niż praca katartyczna — a ten właśnie moment wymykał się zpod kontroli. Zrobiłem więc któregoś dnia doświadczenie, które w jaskrawem świetle pokazało mi to, co oddawna przypuszczałem. Kiedy jedną z najposłuszniejszych swoich pacjentek, u której hipnoza pozwalała na najdziwniejsze sztuki, uwolniłem pewnego razu od jej cierpienia przez sięgnięcie do powodu jej ataków boleści, rzuciła mi się ona przy obudzeniu na szyję. Nieoczekiwane wejście służącej uwolniło nas od przykrych wyjaśnień; odtąd jednak, w milczącem porozumieniu, wyrzekliśmy się dalszego leczenia hipnotycznego. Dość trzeźwy miałem sąd, aby nie kłaść tego wypadku na karb mego nieprzezwyciężonego osobistego uroku, i mniemałem, że pojąłem teraz naturę mistycznego czynnika, działającego za kulisami hipnozy. Chcąc go wykluczyć lub izolować przynajmniej, musiałem hipnozy zaniechać.

Hipnoza jednak oddała niezwykłe usługi lecznictwu katartycznemu, ponieważ rozszerzała pole świadomo-

ści pacjentów i dawała im zasób wiadomości, jakim nie rozporządzali na jawie. Niełatwo było ją w tem zastąpić. W potrzebie przyszło mi z pomocą wspomnienie o doświadczeniu Bernheima, przy którem nieraz bywałem obecny. Kiedy osoba doświadczalna budziła się ze snu somnambulicznego, zdawało się, że zupełnie nie pamięta wydarzeń, co w tym stanie miały miejsce. Bernheim jednak twierdził, że ona przecież wie o nich; i kiedy wymagał, by przypomniała je sobie,—kiedy jej zaręczał, że ona wie wszystko, niechże więc powie — i kładł jej przytem jeszcze rękę na czole, zapomniane wspomnienia istotnie wracały, zrazu jakby się ociągając, a potem strumieniem i w pełni jasności. Postanowiłem tak samo to zrobić. Przecież i moi pacjenci musieli „wiedzieć" o wszystkiem, do czego zwykle dochodzili dopiero w stanie hipnozy; moje zapewnienia i nalegania, ewentualnie poparte nakładaniem ręki, miały tedy mieć moc wtłoczenia do świadomości faktów i związków zapomnianych. Coprawda, wydawało się to trudniejsze, niż wprawianie w stan hipnozy; ale było może bardzo pouczające. Zaniechałem więc hipnozy i zachowałem z niej tylko ułożenie pacjenta na kanapie, za którą siedziałem — tak, że widziałem pacjenta, ale sam nie byłem widoczny.



1909

III

Spełniło się moje oczekiwanie, uwolniłem się od hipnozy. Ale wraz ze zmianą techniki zmieniło się i oblicze pracy katartycznej. Hipnoza zakrywała pewną grę sił, która teraz się wyłaniała, której ujęcie dawało teorji solidną podstawę.

Tylko skąd się to brało, że chorzy zapomnieli tyle faktów z ich zewnętrznego i wewnętrznego przeżywania, a jednak, gdy stosowano na nich opisaną technikę, mogli je sobie przypomnieć? Na to pytanie dawała obserwacja wyczerpującą odpowiedź. Wszystko, co zapomniane zostało, było w jakimkolwiek sensie przykre, bądź straszliwe, bądź bolesne, lub zawstydzające wobec uroszczeń osoby. Sama narzucała się myśl, że właśnie dlatego zostało to zapomniane, t. zn. nie pozostało świadome. Aby zaś znowu to uświadomić, trzeba było u chorego przezwyciężyć coś, co się opierało; trzeba było zrobić wysiłek, aby chorego przynaglić i zmusić. Wielkość wymaganego od lekarza wysiłku bywała różna w różnych przypadkach, zwiększała się proporcjonalnie do ciężkości tego, co miało być wydobyte z pamięci. Natężenie sił lekarza było miarą o p o r u chorego. Teraz należało już tylko na słowa to przełożyć, co się samemu odczuło — i było się w posiadaniu teorji o t ł u m i e n i u.

Proces chorobotwórczy dawał się teraz zrekonstruo-

wać bez trudu. Powiem, zostając przy prostym przykładzie, że w życiu psychicznem wystąpiła pojedyńcza siła prąca, której jednak opierały się inne siły potężne. Powstający teraz konflikt psychiczny powinien był zgodnie z naszem oczekiwaniem przebiegać w ten sposób, że obie siły dynamiczne — nazwijmy je dla naszych celów: popędem i oporem — walczyły ze sobą przez chwilę z wydatnym udziałem świadomości, aż popęd był odparty, a jego siła prąca — pozbawiona obsadzenia przez energję. To byłoby zakończeniem normalnem. W psychonerwicy jednak, z nieznanych jeszcze powodów, znajdował konflikt inne wyjście. Jaźń w pierwszem starciu niejako wycofała się z gorszącego poruszenia popędu, zamknęła mu dostęp do świadomości i do bezpośredniego ujścia motorycznego, ale zachowała przytem pełne swoje obsadzenie energją. Przebieg ten nazwałem tłumieniem; był nowością, nigdy jeszcze nie rozpoznano w życiu psychicznem czegoś podobnego. Oczywiście, był pierwotnym mechanizmem obronnym, który można porównać do próby ucieczki; był dopiero zwiastunem późniejszego ostatecznego osądu normalnego. Z pierwszym aktem tłumienia wiązały się dalsze następstwa. Po pierwsze musiała jaźń się bronić przeciwko zawsze gotowemu naporowi wzruszenia stłumionego, a to przez permanentny wysiłek, przez przeciwobsadzenie, i przytem zbiedniała. Z drugiej strony — to, co zostało stłumione, a teraz było nieświadome, musiało znaleźć sobie, przez zboczenie z drogi, ujście i zadowolenie zastępcze — i zniweczyć w ten sposób zamysł

stłumienia. To zboczenie z drogi, w histerji konwersyjnej, kierowało się do unerwienia ciała; stłumione wzruszenie przebijało się w jakiemś miejscu i stwarzało objawy, które były więc wynikami kompromisowemi, — wprawdzie zastępczem zadowoleniem — ale przecież zniekształcone i odwrócone od swego celu przez opór jaźni.

Nauka o tłumieniu stała się główną podstawą pojmowania psychonerwicy. Zadanie lecznicze musiało być inaczej ujęte; celem było już nie „odreagowanie" afektu, na fałszywe tory sprowadzonego, ale wyjawienie tłumień i zastąpienie ich przez wydawanie sądów, co mogły doprowadzić do przyjęcia albo poniechania poprzednio odrzuconego. Wziąłem w rachubę ten nowy stan rzeczy, nazywając metodę badania i leczenia już nie katartyczną, ale psychoanalizą.

Wychodząc z tłumienia jako z ośrodka, można powiązać z niem wszystkie części nauki psychoanalitycznej. Przedtem jednak chciałbym zrobić jeszcze uwagę treści polemicznej. Histeryczka, według zdania Janeta, była nieszczęśliwą osobą, która naskutek konstytucyjnej słabości nie umiała spoić swoich czynności psychicznych. Dlatego czekało ją rozszczepienie psychiczne i zwężenie świadomości. Według zaś wyników badań psychoanalitycznych, zjawiska te były następstwem dynamicznych czynników: konfliktu psychicznego, oraz dokonanego stłumienia. Sądzę, że różnica ta jest dość doniosła i powinnaby położyć kres powtarzanej ciągle pogłosce, że to, co w psychoanalizie jest wartościowego, ogranicza się do zapożyczenia

myśli Janet'owskich. Mój opis powinien był pokazać czytelnikowi, że psychoanaliza jest pod względem historycznym całkowicie niezależna od odkryć Janeta, tak, jak i w treści od nich odbiega i o wiele dalej sięga. Nigdy też prace Janeta nie pociągnęłyby za sobą tych następstw, które uczyniły psychoanalizę tak ważną dla nauk humanistycznych i skierowały na nią zainteresowanie powszechne. Do Janeta samego odnosiłem się zawsze z szacunkiem, ponieważ jego odkrycia zbiegały się w znacznej części z okryciami Breuera, które zostały wcześniej zrobione a później opublikowane. Kiedy jednak i we Francji stała się psychoanaliza objektem dyskusji, Janet brzydko się zachował, wykazał słabą znajomość rzeczy i użył nieładnych argumentów. Wreszcie skompromitował się w moich oczach i sam pomniejszył swoje dzieło, oświadczając, iż — jeśli mówił o „nieświadomych" czynnościach psychicznych, to nic nie miał na myśli, była to tylko „une façon de parler".

Psychoanaliza jednak, przez badanie tłumień chorobotwórczych i innych zjawisk, o których pomówimy, musiała wziąć na serjo pojęcie „nieświadomości". W jej ujęciu, wszystko, co psychiczne, było zrazu nieświadome; kwalifikacja świadomości mogła, albo i nie, być dodana potem. Oczywiście natrafiało się przytem opór filozofów, dla których „świadome" i „psychiczne" było tożsamością i którzy zapewniali, że takiego dziwotworu jak „nieświadoma psychika" nie mogą sobie wyobrazić. Ale nic nie pomagało, trzeba było ze wzruszeniem ramion przejść mimo tej idjosynkrazji filo-

zofów. Doświadczenia z materjałem patologicznym, jakiego filozofowie nie znali, nad częstością i potęgą zjawisk, o których się nic nie wiedziało i do których trzeba było przystąpić jak do byle faktu ze świata zewnętrznego, — nie pozostawiały wyboru. Można było wtedy wykazać, że robiło się na własnem życiu psychicznem to tylko, co już oddawna na psychice innych. Przecież i drugiej osobie przypisywano czyny psychiczne, mimo że nie miano bezpośredniej ich świadomości i trzeba było ich się domyślać z działań i wynurzeń. Ale miarka musi być dla każdego równa. Chcąc ten argument wyzyskać do końca i wywnioskować, że własne czyny ukryte należą do drugiej świadomości, stajemy wobec koncepcji świadomości, o której nic nie wiadomo, — nieświadomej świadomości — co nie jest chyba atutem przeciwko uznaniu nieświadomej psychiki. Jeżeli zaś, zgodnie z innymi filozofami, powiada się, że się docenia wypadki patologiczne, tylko że nie należałoby powodujących je czynów nazywać psychicznymi, ale psychoidalnymi, to spór kończy się jałową sprzeczką słowną, w której przecież, jako przy najbardziej celowem, pozostaje się przy wyrażeniu „psychicznie nieświadomie". Pytanie, czem jest nieświadomość w sobie, nie jest w tym wypadku mądrzejsze ani bardziej celowe, niż tamto, dawniejsze: czem jest świadomość.

Trudniej byłoby przedstawić pokrótce, jak psychoanaliza doszła do rozczłonkowania uznanej przez siebie nieświadomości, do rozłożenia jej na przedświadomość i właściwą nieświadomość. Niech

wystarczy uwaga, że wydawało się słuszne, by teorje, które były bezpośrednim wyrazem doświadczenia, uzupełnić hipotezami, służącemi do opanowania materjału i dotyczącemi stosunków, które nie mogą być przedmiotem bezpośredniej obserwacji. Nieinaczej postępuje się i w starszych naukach. Rozczłonkowanie nieświadomości pozostaje w związku z próbą wyobrażenia sobie aparatu psychicznego jako zbudowanego z pewnej ilości instancyj lub systemów, o których wzajemnym stosunku mówi się sposobem wyrażania przestrzennym, przyczem jednak łączność z realną anatomją mózgu nie jest poszukiwana (t. zw. topiczny punkt widzenia). Takie i tym podobne wyobrażenia należą do spekulatywnej nadbudówki psychoanalizy, z której to nadbudówki można każdą część poświęcić lub zamienić bez szkody i żalu, gdy okazuje się jej niedostateczność. Pozostaje dosyć do opowiedzenia o tem, co bliższe jest obserwacji.

Wspomniałem już, że badanie powodów i uzasadnień psychonerwicy wskazywało coraz częściej na konflikty między wzruszeniami seksualnemi osoby a oporami przeciwko seksualności. Poszukując sytuacyj chorobotwórczych,—w których nastąpiły tłumienia seksualności i z których, jako zastępcze twory tego, co zostało stłumione, pochodziły objawy, — sięgało się do coraz wcześniejszych okresów życia pacjenta, aż dotarło się wreszcie do jego pierwszych lat dziecięcych. Okazało się, jak to poeci i znawcy ludzi zawsze utrzymywali, że wrażenia tego wczesnego okresu, aczkolwiek ulegają najczęściej amnezji, pozostawiają nieza-

tarte ślady w rozwoju jednostki, zwłaszcza zaś utwierdzają skłonności do późniejszych schorzeń neurotycznych. Ponieważ zaś w tych przeżyciach dziecięcych chodziło zawsze o seksualne wzruszenia i o reakcje przeciwko nim, stanęliśmy wobec faktu dziecięcej seksualności, która znowu oznaczała nowość i przeciwstawienie się jednemu z najsilniejszych ludzkich przesądów. Przecież dzieciństwo miało być „niewinne", wolne od chuci; walka zaś z demonem, którego imię „zmysłowość", zaznaczać się miała dopiero z nastaniem *Sturm und Drang* pokwitania. Aktywność płciowa, jakiej nie można było czasem u dzieci nie spostrzec, uważano za oznakę zwyrodnienia, przedwczesnego zepsucia, lub za dziwaczny kaprys natury. Mało która z rzeczy wykrytych przez psychoanalizę została odrzucona tak powszechnie, wywołała taki wybuch oburzenia, jak twierdzenie, że czynność seksualna zaczyna się od początku życia i już w dzieciństwie wyraża się w ważnych przejawach. A przecież żadne inne odkrycie psychoanalityczne nie daje się tak łatwo i całkowicie udowodnić, jak to.

Nim zajmę się szczegółowo oceną seksualności dziecięcej, muszę wspomnieć o błędzie, w jaki na chwilę popadłem i który fatalnie zaciążyłby na całej mojej pracy. Pod naciskiem mojej ówczesnej metody technicznej, większość moich pacjentów odtwarzała sceny ze swego dzieciństwa, których treścią było uwiedzenie seksualne przez osobę dorosłą; u kobiet, rola uwodziciela zawsze prawie przypadała ojcu. Wierzyłem tym doniesieniom; przypuszczałem więc, że

w tych przeżyciach uwiedzenia seksualnego w dziecięctwie znalazłem źródła późniejszych psychonerwic. Utwierdziło mnie w tej wierze kilka przypadków, w których takie stosunki z ojcem, stryjem albo bratem ciągnęły się do czasu, odkąd wspomnienia były dokładne. — Gdyby ktoś teraz podejrzliwie głową potrząsnął, zarzucając mi łatwowierność, nie mógłbym odmówić mu pewnej słuszności; ale chciałbym zaznaczyć, że było to w czasie kiedy umyślnie zadawałem gwałt własnej krytyce, aby pozostać bezstronnym i przyjmować bez uprzedzeń liczne nowości, jakie codziennie napotykałem. Kiedy jednak potem musiałem dojść do wniosku, że te sceny uwiedzenia nie wydarzyły się nigdy, że to tylko fantazje, które sobie moi pacjenci stworzyli, które być może im sam narzuciłem — przez pewien czas byłem bezradny. Moje zaufanie, tak do swojej techniki, jak do jej wyników, doznało twardego ciosu; przecież sceny te wydobyłem zapomocą techniki, którą uważałem za poprawną, ich treść zaś stała w niewątpliwym związku z objawami, od których rozpocząłem badanie. Kiedy się uspokoiłem, wyciągnąłem ze swego doświadczenia słuszny wniosek, iż objawy neurotyczne nie nawiązują bezpośrednio do przeżyć rzeczywistych, ale do fantazyj życzeniowych, oraz, że więcej znaczy dla psychonerwicy rzeczywistość psychiczna, aniżeli materjalna. Nie wierzę i dziś, iżbym owe fantazje uwiedzenia narzucił, „zasugerował" swoim pacjentom. Poraz pierwszy wtedy napotkałem k o m p l e k s E d y p a, który nabrać miał później tak wielkiego znaczenia, ale któ-

rego w tak fantastycznej powłoce jeszcze nie odgadłem. Uwiedzenie w wieku dziecięcym zachowało też, choć w skromniejszym zakresie, swój udział w etjologji. Uwodzicielami jednak, najczęściej, były starsze dzieci.

Mój błąd więc był taki, jakgdyby ktoś według relacji Liviusa przyjął podania z czasów królestwa rzymskiego za prawdę historyczną, zamiast tego czem są — zamiast oddziałania na wspomnienie nędznych, prawdopodobnie niezawsze chlubnych, czasów i stosunków. Po wyjaśnieniu tego błędu, droga do badania dziecięcego życia seksualnego była wolna. Nasuwała się możliwość zastosowania psychoanalizy do innej dziedziny, odgadnięcia z jej dat nieznanej dotychczas części biologicznego stawania się.

Czynność seksualna istniała od początku, opierała się zrazu na pozostałych, koniecznych dla życia czynnościach, potem uniezależniała się od nich; musiała przejść długi i skomplikowany rozwój, aż stawała się tem, co znane jest jako normalne życie seksualne osoby dorosłej. Z początku przejawiała się czynność seksualna jako działalność całego szeregu składników popędu, które były zależne od erogenetycznych obrębów cielesnych, występowały częściowo parami sprzecznemi (sadyzm — masochizm, podglądanie — ekshibicjonizm), niezależnie od siebie puszczały się na zdobywanie rozkoszy, objekt zaś swój przeważnie we własnem ciele znajdowały. Z początku więc była ona nie ześrodkowana i przeważnie autoerotyczna. Później wystąpiły w niej skupienia; na pierwszym sto-

pniu organizacyjnym górowały składniki o r a l n e, potem następował okres s a d y s t y c z n o - a n a l n y, a późno dopiero osiągnięty okres trzeci dawał prymat g e n i t a l j o m, przez co czynność seksualna zaczynała służyć rozmnożeniu. Niemało udziałów popędowych, jako nieprzydatnych do tego celu końcowego, pozostało na uboczu podczas tego rozwoju, albo też zostały one inaczej użyte; inne znów odwiedzione zostały od swych celów i przeprowadzone do genitalnej organizacji. Energję popędów seksualnych — i tylko tę jedną — nazwałem l i b i d o. Musiałem teraz przypuścić, że libido niezawsze bez zarzutu przechodzi rozwój opisany. Naskutek nadmiernej siły składników poszczególnych, lub wczesnych przeżyć zadowolenia, przychodzi do u t r w a l e ń libido w niektórych punktach jego drogi rozwojowej. W wypadku późniejszego stłumienia, libido podąża zpowrotem do tych punktów (r e g r e s j a) i stamtąd też następuje przełomowe przejście w objaw. Zrozumiałem później, że umiejscowienie punktu utrwalenia jest również decydujące dla wyboru psychonerwicy, dla postaci, w jakiej występuje późniejsze schorzenie.

Obok organizacji libido, odbywa się proces znajdowania objektu, który ma zastrzeżoną wielką rolę w życiu psychicznem. Pierwszym objektem miłosnym po okresie a u t o e r o t y z m u staje się dla obojga płci matka, której organ żywiący nie był chyba początkowo odróżniany przez dziecko od własnego ciała. Później, ale jeszcze w pierwszych latach dziecięcych, wyrabia się stosunek k o m p l e k s u E d y p a, w któ-

rym to stosunku chłopiec skupia na osobie matki swe pragnienie seksualne, względem zaś ojca, jako rywala, rozwija wrogie uczucia. W analogiczny sposób nastawia się dziewczynka[1]; wszystkie odmiany i następstwa kompleksu Edypa, jakoteż przyrodzona konstytucja biseksualna, nabierają znaczenia i zwiększają ilość dążności, jednocześnie istniejących. Niemało czasu upływa, zanim dziecko jasno zdaje sobie sprawę z różnicy płci; w tym okresie *badania seksualnego* stwarza ono sobie typowe *teorje seksualne*, które, zależne od niedoskonałości własnej organizacji cielesnej dziecka, mieszają słuszne z fałszywem i nie mogą rozwiązać zagadnień życia płciowego. (Zagadka Sfinska: skąd biorą się dzieci?) Pierwszy wybór objektu jest więc u dziecka *kazirodczy*. Cały opisany tutaj rozwój przebiega szybko. Cechą najbardziej znamienną ludzkiego życia seksualnego jest jego *dwuczasowy rozpęd* z przerwą pośrodku. W 4-ym i 5-ym roku życia rozwój seksualny osiąga swój pierwszy punkt szczytowy. Potem jednak mija ten wczesny

---

[1] (Przyp. z 1935 r.). Odkrycia, dotyczące seksualności dziecięcej, dokonane były na mężczyźnie, wyprowadzona zaś z nich teorja — sporządzona z myślą o dziecku rodzaju męskiego. Oczekiwanie paralelizmu na całej linji między obojgiem płci było dosyć naturalne, ale zawiodło. Dalsze badania i rozważania wykryły dalekoidące różnice w rozwoju płciowym mężczyzny a kobiety. Również i dla małej dziewczynki jest matka pierwszym objektem seksualnym; ale — by osiągnąć cel rozwoju normalnego — powinna kobieta zmienić nietylko objekt seksualny, lecz i kierowniczy obręb genitalny. Wynikają stąd trudności i możliwe hamulce, jakich niema u mężczyzny.

rozkwit seksualności; żywe dotychczas dążności ulegają stłumieniu i zaczyna się, trwający do pokwitania, okres utajenia, podczas którego powstają oddziałania moralności, wstydu, wstrętu.[1] Wydaje się, że, ze wszystkich istot żyjących, jedynie człowiekowi przypada dwuczasowość rozwoju seksualnego. Jest to może biologiczny warunek jego skłonności do psychonerwicy. Z nastaniem pokwitania ożywiają się znowu dążności do obsadzenia przez libido objektu z okresu wczesnego, jakoteż więzy uczuciowe kompleksu Edypa. Bodźce okresu wczesnego walczą, w okresie pokwitania, z hamulcami okresu utajenia. Jeszcze u szczytu dziecięcego rozwoju seksualnego wytworzył się rodzaj genitalnej organizacji, w której jednak grały rolę tylko męskie genitalja, — kobiece były niewykryte (t. zw. prymat falliczny). Przeciwieństwo płci nie nazywało się jeszcze wtedy: męski czy żeński, ale — w posiadaniu członka czy skastrowany. Wiążący się z tem kompleks kastracyjny staje się nader doniosły dla powstania charakteru i psychonerwicy.

W skróconem tem przedstawieniu swoich zapatrywań na życie seksualne człowieka, kilkakrotnie gwoli jasności zestawiłem to, co w różnych okresach czasu

---

[1] (Przyp. z 1935 r.). Okres utajenia jest zjawiskiem fizjologicznem. Całkowite jednak przerwanie życia seksualnego może on wywołać tylko w organizacjach kulturalnych, które włączyły do swojego programu poskromienie seksualności dziecięcej. Nie dzieje się to w większości społeczeństw pierwotnych.

powstało i, bądź jako uzupełnienie, bądź jako sprostowanie, zostało włączone do kolejnych wydań moich „Trzech rozpraw o teorji seksualnej". Spodziewam się, że łatwo zeń poznać, na czem polega częstokroć zaznaczone i kwestjonowane rozszerzenie pojęcia seksualności. Rozszerzenie to jest podwójne. Po pierwsze, seksualność zostaje wyzwolona z nazbyt ciasnego stosunku do genitaljów i ujęta jako czynność cielesna o większym zasięgu, dążąca do rozkoszy i która wtórnie dopiero służy rozmnożeniu. Po drugie, do wzruszeń seksualnych zalicza się wszelkie serdeczne i przyjazne uczucia. Sądzę jednak, że rozszerzenia te nie wprowadzają nowości, ale są przywróceniem; oznaczają zniesienie niecelowych zwężeń pojęcia, do jakich daliśmy się nakłonić. Oderwanie seksualności od genitaljów ma tę korzyść, że pozwala nam podciągnąć pod tem sam punkt widzenia, co dla normalnych dorosłych, działalność seksualną dzieci i zboczeńców, która — jeśli chodzi o dzieci — była dotychczas całkowicie zaniedbana, a jeśli chodzi o zboczeńców — ujmowana wprawdzie z oburzeniem moralnem, ale bez zrozumienia. Najbardziej nawet osobliwe i odrażające zboczenia stają się zrozumiałe dla koncepcji psychoanalitycznej, jako wyraz seksualnych popędów cząstkowych, które uniknęły prymatu genitalnego i, jak w zamierzchłych czasach rozwoju libido, samodzielnie puszczają się na zdobycie rozkoszy. Najważniejsze z tych zboczeń — homoseksualizm — nie zasługuje prawie na miano zboczenia. Sprowadza się bowiem do konstytucyjnej biseksualności i następczego

działania prymatu fallicznego; zapomocą psychoanalizy można u każdego dowieść nieco homoseksualnego wyboru objektu. Jeśli dzieci nazwano „zboczeńcami wielopostaciowymi", było to tylko określeniem w ramach ogólnie używanych wyrażeń; nie miało to być oceną moralną. Psychoanaliza daleka jest wogóle od osądów tego rodzaju.

Drugie z rzekomych rozszerzeń usprawiedliwia badanie psychoanalityczne, które dowodzi, że wszystkie te uczucia serdeczne były pierwotnie dążeniami pełnoseksualnemi, które potem zostały „zahamowane w stosunku do objektu", albo „uwznioślone". Na tej odwracalności popędów seksualnych i ich podatności na wpływy polega również ich używalność do wielorakich prac kulturalnych, do których wybitnie się przyczyniają.

Niespodziane wykrycia seksualności u dziecka dokonane były początkowo dzięki analizie osób dorosłych; ale później, mniej więcej od r. 1908, potwierdziły je we wszystkich szczegółach i w dowolnym zakresie spostrzeżenia bezpośrednie. Jest naprawdę tak łatwo przekonać się o regularnych czynach seksualnych u dzieci , że dziwić się trzeba, w jaki sposób potrafili ludzie przeoczyć te fakty i tak długo utrzymać legendę życzeniową o aseksualnem dziecięctwie. Musi to być w związku z amnezją większości dorosłych, jeśli chodzi o ich własne dzieciństwo.

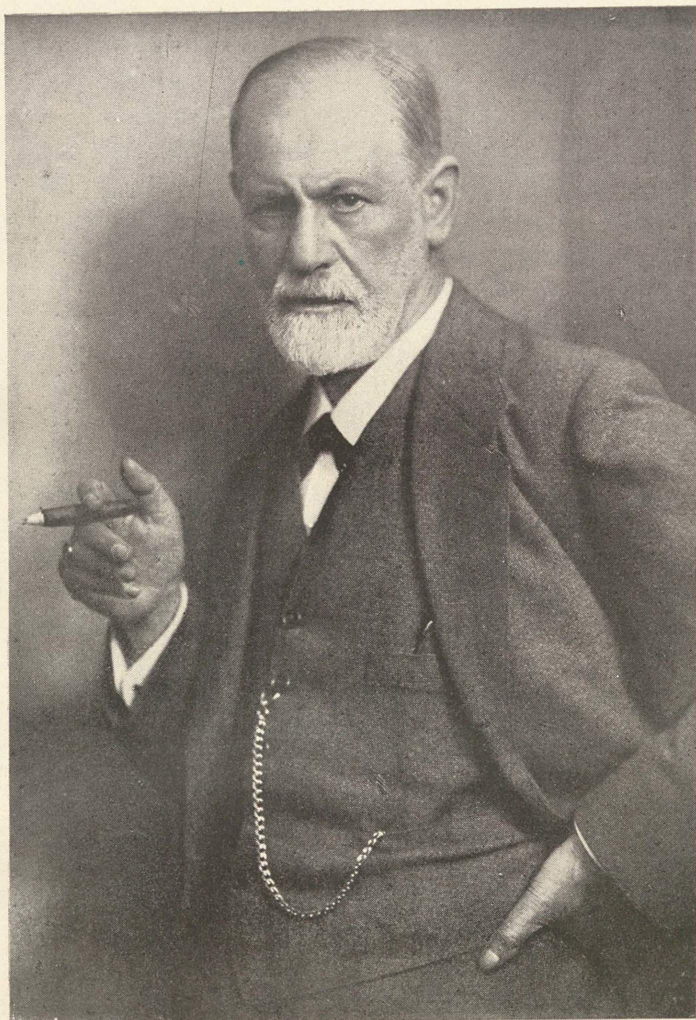
IV

Nauki o oporze i tłumieniu, o nieświadomości, etjologicznem znaczeniu życia seksualnego i ważności przeżyć dziecięcych, są głównymi filarami gmachu nauki psychoanalitycznej. Żałuję, że mogłem opisać tutaj tylko części poszczególne, a nie również to, jak one się składają i zazębiają. Czas teraz zwrócić się ku zmianom, jakie dokonały się stopniowo w technice leczenia psychoanalitycznego.

Stosowane z początku przezwyciężanie oporu przez naleganie i zapewnianie było nieodzowne, by dostarczyć lekarzowi pierwszych wskazówek, orjentujących go w tem, czego wolno mu oczekiwać. Na dalszą jednak metę było to dla obu stron zbyt męczące i nie wolne, zdawało się, od pewnych, łatwo zrozumiałych, zastrzeżeń. Tę metodę więc zastąpiła inna, która w pewnym sensie była jej przeciwieństwem. Zamiast napędzać pacjenta, aby powiedział coś na określony temat, wymagano teraz od niego, by „swobodnie kojarzył", t. zn. mówił wszystko, co przychodzi mu na myśl, kiedy się powstrzymuje od wszelkiego świadomego wyobrażenia celu. Tylko, że musiał on się zobowiązać, że będzie rzeczywiście donosił o wszystkiem, co zaczerpie z tego dostrzegania własnego i, że nie ustąpi swym krytycznym zarzutom, co chciałyby usunąć poszczególne pomysły, rzekomo dlatego, że nie

są one dość ważne, że nie należą do rzeczy, że są wogóle bezsensowne. Nie trzeba było jeszcze powtarzać z naciskiem, że wymagana jest szczerość w tem donoszeniu; było to warunkiem kuracji psychoanalitycznej.

Może wydawać się dziwne, że ta metoda swobodnych kojarzeń, przy zachowaniu podstawowej reguły psychoanalitycznej, dokazać miała tego, czego po niej się spodziewano, mianowicie doprowadzenia do świadomości materjału stłumionego i trzymanego zdala przez opory. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że swobodne kojarzenie nie jest rzeczywiście swobodne. Pacjent pozostaje pod wpływem sytuacji psychoanalitycznej, nawet gdy swojej działalności myślowej nie kieruje na określony temat. Ma się prawo przypuścić, że nie przyjdzie mu do głowy nic innego, jak to, co jest w związku z tą sytuacją. Jego opór przeciwko odtworzeniu tego, co zostało stłumione, przejawi się teraz w sposób dwojaki: po pierwsze, w owych zarzutach krytycznych, w które mierzy podstawowa reguła psychoanalityczna. Jeżeli zaś, przestrzegając reguły, pacjent przełamie te przeszkody, to opór znajdzie inny wyraz. Opór przeprowadzi to, że pacjentowi nigdy nie przyjdzie na myśl samo stłumione, ale tylko coś, co przez sposób napomykania wiąże się z tamtem; im zaś większy jest opór, tem dalszy będzie pomysł zastępczy od tego, co jest istotne, czego się szuka. Analityk, przysłuchujący się w skupieniu ale bez wysiłku, i przygotowany naogół przez swoje doświadczenie na to, co nastąpi, może te-



1922

raz dwojako, zależnie od możliwości, zużytkować materjał, dostarczony przez skojarzenia pacjenta. Albo udaje mu się, przy niewielkim oporze chorego, odgadnąć z napomknień samo stłumione; albo, przy silniejszym oporze, może on według pomysłów, które zdawałoby się odbiegają od tematu, poznać naturę tego oporu, o którym on pacjentowi komunikuje. Odkrycie zaś oporu jest pierwszym krokiem do jego przełamania. W ten sposób wynika w ramach pracy analitycznej sztuka interpretacji, której skuteczne stosowanie wymaga coprawda taktu i wprawy, lecz której nietrudno się nauczyć. Metoda swobodnych kojarzeń jest dużo korzystniejsza, aniżeli dawna metoda, nietylko przez to, że szczędzi wysiłku. Osobie analizowanej zadaje ona najmniejszą miarę gwałtu; nigdy nie traci kontaktu z rzeczywistą teraźniejszością; daje dalekoidące gwarancje, że w strukturze nerwicy nie przeoczy się żadnego momentu, ani nie wniesie się do niej niczego, co odpowiadałoby oczekiwaniu własnemu. Przy takiej metodzie, wyznaczenie biegu analizy i ułożenia materjału pozostawia się właściwie pacjentowi; dlatego staje się niemożliwe systematyczne opracowanie objawów i kompleksów poszczególnych. W przeciwieństwie do postępowania metodą hipnozy lub namowy, całokształtu dowiadujemy się tutaj w różnych okresach leczenia i w różnych jego punktach. Dla przysłuchującego się — który jednak w rzeczywistości istnieć nie może — byłaby z tego powodu kuracja analityczna całkiem nieprzejrzysta.

Inna korzyść tej metody polega na tem, że może ona właściwie nigdy nie zawodzić. Mieć skojarzenie — to musi być teoretycznie zawsze możliwe, skoro rezygnuje się z wymagań co do jego rodzaju. A przecież zawód taki, w jednym wypadku, zdarza się regularnie; lecz właśnie przez swe odosobnienie daje się ten wypadek łatwo zinterpretować.

Zbliżam się teraz do opisania momentu, który dorzuca istotny rys do obrazu psychoanalizy i który, zarówno pod względem technicznym, jak teoretycznym, ma znaczenie największe. W każdem psychoanalitycznem leczeniu ustanawia się, bez udziału lekarza, intensywny stosunek uczuciowy pacjenta do osoby analityka, dla którego to stosunku niema wytłumaczenia w sytuacji rzeczywistej.

Jest on natury dodatniej lub ujemnej, przechodzi od namiętnego, pełnozmysłowego zakochania do skrajnego wyrazu buntu, gniewu lub nienawiści. To w skrócie zwane „p r z e n i e s i e n i e" zastąpi niebawem u pacjenta pragnienie wyzdrowienia i, jak długo będzie serdeczne i umiarkowane, tak długo będzie nosicielem wpływu lekarskiego i właściwą sprężyną wspólnej pracy psychoanalitycznej. Później, kiedy stanie się namiętne, lub wrogie, będzie ono głównem narzędziem oporu. Wtedy zdarza się też, że paraliżuje ono czynność kojarzeniową pacjenta i zagraża powodzeniu kuracji. Nonsensem jednak byłoby chcieć je wyminąć; psychoanaliza bez przeniesienia jest niemożliwością. Nie należy sądzić, że analiza stwarza przeniesienie i że zachodzi ono tylko w analizie.

Przeniesienie zostaje przez analizę tylko wykryte i izolowane. Jest ono zjawiskiem ogólnoludzkiem, decyduje o powodzeniu wszelkiego wpływu lekarskiego, ba! panuje wogóle nad stosunkiem jednostki do otaczającego świata ludzkiego. Nietrudno poznać w niem ten sam czynnik dynamiczny, który hipnotycy nazwali podatnością na sugestję; który jest nosicielem stosunku hipnotycznego; na którego nieobliczalność skarżyła się również metoda katartyczna. Gdzie brak tej skłonności do przeniesienia uczuciowego lub gdzie stała się ona całkowicie ujemna, jak przy dementia praecox i paranoi, tam odpada również możliwość wywarcia na pacjenta wpływu psychicznego.

Owszem, słuszne jest twierdzenie, że psychoanaliza posługuje się środkiem sugestji, jak inne metody psycholecznicze. Różnica jednak jest ta, że tutaj nie pozostawia się temu środkowi — sugestji albo przeniesieniu — decyzji o skutku terapeutycznym. Natomiast używa się go poto, aby nakłonić chorego do wykonania pracy psychicznej — do przezwyciężenia oporów przeniesieniowych — co oznacza stałą zmianę jego psychicznej ekonomji. Analityk uświadomia przeniesienie choremu i rozpuszcza je w ten sposób, że go przekonywa, iż w swojem zachowaniu przeniesieniowem przeżywa on powtórnie związki uczuciowe, pochodzące z najwcześniejszych obsadzeń objektu przez libido, ze stłumionego okresu jego dzieciństwa. Przez taki obrót staje się przeniesienie, z najsilniejszej broni oporu, najskuteczniejszem narzędziem kuracji psychoanalitycznej. Stosowanie go jednak pozo-

staje najtrudniejszą i najważniejszą częścią psychoanalitycznej techniki.

Z pomocą metody swobodnych kojarzeń i związanej z nią sztuką interpretacji udało się psychoanalizie dokonać czynu, który nie miał pozornie praktycznego znaczenia, ale który w rzeczywistości musiał ją doprowadzić do całkiem nowej pozycji i wartości w ruchu naukowym. Powstała teraz możliwość udowodnienia, że sny mają sens — i sens ten odgadnąć. Jeszcze w klasycznej starożytności ceniono bardzo marzenia senne jako przepowiednie przyszłości. Współczesna nauka nie chciała nic wiedzieć o marzeniu sennem; pozostawiała go przesądom; twierdziła, że jest tylko aktem „cielesnym", rodzajem drgawki śpiącego zresztą życia psychicznego. Wydawało się przecież wykluczone, aby ktoś, kto dokonał poważnej pracy naukowej, wystąpić mógł jako „interpretator snów". A jednak, nie troszcząc się o takie potępienie marzenia sennego, traktując je jak niezrozumiany objaw neurotyczny, jak myśl szaleńczą lub natrętną; abstrahując od jego treści pozornej i biorąc poszczególne jego obrazy za objekty swobodnych kojarzeń — dochodziło się do innego wyniku. Z licznych pomysłów pacjenta poznawało się twór myślowy, który nie mógł już być nazwany absurdalnym czy rozstrojonym, lecz odpowiadał pracy psychicznej pełnowartościowej; jawne marzenie senne okazywało się tylko zniekształconym, skróconym i niezrozumianym jego przekładem, przeważnie przekładem na wizualne obrazy. Te utajone myśli marzenia sennego zawierały

sens marzenia; treść jawnego marzenia sennego była tylko złudzeniem, fasadą, do której mogły wprawdzie nawiązać swobodne kojarzenia, ale nie mogła tego uczynić interpretacja.

Teraz trzeba było odpowiedzieć na cały szereg pytań, z których najważniejsze brzmiały: czy istnieje powód tworzenia się snów, w jakich warunkach tworzą się sny, jakiemi drogami przechodzą myśli marzenia sennego, zawsze mające znaczenie, w marzenie często bezsensowne, i in. W wydanej w r. 1900 „Traumdeutung" („Interpretacja marzeń sennych") postarałem się opracować wszystkie te zagadnienia. Tutaj zmieści się z tego badania tylko wyciąg najkrótszy: Badając myśli marzenia sennego, poznane zapomocą jego analizy, spotyka się jedną między niemi, która wyraźnie odgranicza się od pozostałych, zrozumiałych i dobrze znanych osobie analizowanej. Te myśli pozostałe są resztkami życia na jawie (resztkami z dnia); z tej jednej poznaje się gorszące nieraz życzenie, które śniącemu jest obce na jawie i któremu też ze zdumieniem lub oburzeniem zaprzecza. Życzenie to jest właściwym twórcą marzenia. Nagromadziło ono energję do jego wytworzenia i zużytkowało resztki z dnia jako materjał. Powstałe w ten sposób marzenie senne oznacza dlań sytuację zadowolającą, jest spełnieniem życzenia. Proces ten nie byłby możliwy, gdyby coś w naturze stanu sennego nie było dlań korzystne. Psychicznem założeniem spania jest nastawienie jaźni na pragnienie snu i odciągnięcie obsadzeń od wszystkich interesów życia; ponieważ jed-

nocześnie zostają zamknięte dostępy do ruchowości, może również jaźń obniżyć nakład, jakim zwykle utrzymuje stłumienie. Tę pozostałość nocną stłumienia wyzyskuje dla swego celu uczucie nieświadome, by z marzeniem sennem przedrzeć się do świadomości. Lecz i we śnie trwa opór tłumieniowy jaźni; tyle tylk, że został obniżony. Reszta jego pozostała jako cenzura senna i zabrania teraz życzeniu nieświadomemu przejawiać się w postaci, co właściwie byłaby dlań odpowiednia. Wskutek surowości tej cenzury muszą utajone myśli marzenia sennego poddać się zmianom i złagodzeniu, przeinaczającym do niepoznania zakazany sens marzenia. Tem się tłumaczy zniekształcenie snu, któremu jawne marzenie senne zawdzięcza swe cechy najwidoczniejsze. Stąd usprawiedliwione jest zdanie, że marzenie senne jest (ukrytem) spełnieniem (stłumionego) życzenia. Teraz już poznajemy, że marzenie senne zbudowane jest jak objaw neurotyczny; jest tworem kompromisowym między roszczeniem stłumionego uczucia popędowego a oporem cenzurującej w jaźni mocy. Naskutek tej samej genezy jest ono też tak samo, jak objaw, niezrozumiałe i wymaga w ten sam sposób interpretacji.

Łatwo odnaleźć ogólną czynność marzenia w czasie snu. Służy ono do tego, aby bodźce zewnętrzne lub wewnętrzne, które wezwałyby do przebudzenia, odeprzeć przez rodzaj uśmierzenia i, w ten sposób, zabezpieczyć sen od przeszkody. Bodziec zewnętrzny zostaje odparty przez odpowiednie przetłumaczenie

i wplecenie go w niewinną jakąś sytuację; wewnętrznemu zaś bodźcowi śpiący się nie przeciwstawia i, jak długo utajone myśli marzenia nie wyrywają się zpod poskromiającej je cenzury, pozwala mu na stworzenie marzenia sennego, jako na jego zaspokojenie. Kiedy jednak grozi niebezpieczeństwo wyrwania się tych myśli i sen staje się zbyt wyraźny, śpiący przerywa go i budzi się przestraszony (marzenie lękowe). Tak samo zawodzi czynność marzenia, gdy bodziec zewnętrzny staje się tak silny, iż nie daje się odeprzeć (marzenie prowadzące do przebudzenia). Proces, który przy współudziale cenzury sennej przeprowadza myśli utajone do jawnej treści marzenia, nazwałem pracą marzenia sennego. Polega ona na swoistem ujmowaniu przedświadomego materjału myślowego; ujmowanie to zgęszcza składniki tego materjału, przesuwa jego akcenty, przenosi potem całość w obrazy wizualne, dramatyzując, i zostaje uzupełnione przez mylące opracowanie wtórne. Praca marzenia sennego jest doskonałą próbką procesów, dokonywających się w głębszych, nieświadomych warstwach życia psychicznego, a różniących się bardzo od znanych procesów myślowych normalnych. Ukazuje ona też pewną ilość cech archaicznych, np. zużytkowanie symboliki, tutaj przeważnie seksualnej, którą odnaleziono potem na innych terenach duchowej działalności.

Przez to, że nieświadome uczucie marzenia sennego łączy się z resztką z dnia, z niezałatwionym intere-

sem życia na jawie, dostarcza ono stworzonemu przez siebie marzeniu podwójną wartość dla pracy analitycznej. Interpretowane marzenie senne okazuje się przecież, z jednej strony, spełnieniem życzenia stłumionego; — z drugiej — mogło ono było kontynuować przedświadomą działalność myślową z dnia i napełnić się treścią dowolną, jakimś zamiarem, ostrzeżeniem, zastanowieniem — i ponownie dać wyraz spełnieniu życzenia. Analiza używa go w obu kierunkach, do znajomości u osoby analizowanej zarówno procesów nieświadomych, jak świadomych. Wyzyskuje ona również i tę okoliczność, że zapomniany materjał przeżycia dziecięcego dostępny jest marzeniu sennemu — tak, że amnezja infantylna, przeważnie w związku z interpretacją, zostaje przełamana. Marzenie senne wykonywa tu nieco tej pracy, która dawniej była udziałem hipnozy. Nigdy jednak nie wysuwałem przypisywanego mi często twierdzenia, jakoby interpretacja marzeń sennych wykazywała, że wszystkie marzenia zawierają treść seksualną lub sprowadzają się do seksualnych sił popędowych. Łatwo się przekonać, że głód, pragnienie i nacisk wydalin tak samo wytwarzają marzenia zaspokojające, jak stłumione uczucia seksualne lub egoistyczne. U małych dzieci nietrudno przeprowadzić próbę słuszności naszej teorji snu. Tu bowiem, gdzie różne systemy psychiczne nie są jeszcze ściśle odgraniczone i gdzie stłumienia nie są jeszcze głęboko wyryte, często napotyka się marzenia senne, które nie są niczem innem, jak niezatajonem spełnieniem jakichkolwiek pozostałych z dnia uczuć życze-

niowych. Pod wpływem potrzeby imperatywnej mogą i dorośli wytwarzać takie marzenia typu infantylnego. [1]

W sposób podobny, co interpretacją marzenia, posługuje się analiza badaniem tak częstych drobnych czynności pomyłkowych i symptomatycznych człowieka, którym poświęciłem badania, poraz pierwszy w r. 1904 w formie książkowej wydane p. t. „Psychopatologja życia codziennego". Treść tego rozpowszechnionego dzieła stanowi dowód, że zjawiska te nie są czemś przypadkowem, że sięgają poza wyjaśnienia fizjologiczne, że mają sens i są tłumaczalne i usprawiedliwiają doszukiwanie się stłumionych uczuć i zamiarów. Wybitna jednak wartość zarówno tego studjum jak „Interpretacji marzenia sennego" polega nie na poparciu, jakie one dają pracy analitycznej, ale na innej ich właściwości. Psychoanaliza zajmowała się dotychczas tylko rozwiązywaniem zjawisk chorobowych, i nieraz, celem wyjaśnienia ich, musiała czynić przypuszczenia, których doniosłość nie pozostawała w żadnym stosunku do ważności traktowanej materji. Ale marzenie senne, które potem zaatakowała, nie jest objawem chorobliwym; jest zjawiskiem normalnego życia psychicznego, może zdarzyć się każdemu zdro-

[1] (Przyp. z 1935 r.). Jeśli się uwzględni tak częste chybienie czynności marzenia sennego, można je trafnie scharakteryzować, jako próbę spełnienia życzenia. Stare określenie arystotelesowskie marzenia sennego, jako życia psychicznego w czasie snu, pozostaje bezsporne. Nie jest bez znaczenia fakt, że książkę swoją zatytułowałem nie „Marzenie senne", ale „Interpretacja marzenia sennego". („Die Traumdeutung").

wemu człowiekowi. Jeśli marzenie senne zbudowane jest jak objaw neurotyczny; jeśli wyjaśnienie jego wymaga przyjęcia tych samych tez — o tłumieniu uczuć popędowych, o tworach zastępczych i kompromisowych, o różnych systemach psychicznych umieszczania świadomości i nieświadomości — to psychoanaliza nie jest już posiłkową nauką psychopatologji, ale raczej zaczątkiem nowej i gruntowniejszej wiedzy o duszy, nieodzownej do zrozumienia psychiki normalnej. Jej założenia i wyniki należy przenieść do innej dziedziny stawania się psychicznego i duchowego; droga wdal, do światowego znaczenia, stoi dla niej otworem.

V

Przerywam opis wewnętrznego rozrostu psychoanalizy i zwracam się ku jej losom zewnętrznym. To, co powiedziałem dotychczas o jej osiągnięciach, było w grubych zarysach rezultatem mojej pracy własnej; lecz wniosłem do całokształtu i późniejsze wyniki, a przyczynków moich uczniów i zwolenników nie odgraniczałem od własnych. W ciągu przeszło dziesięciu lat po rozstaniu się z Breuerem, nie miałem zwolenników. Byłem całkiem odosobniony. W Wiedniu omijano mnie, zagranica nie zwracała na mnie uwagi. „Interpretacja marzeń sennych", wydana w r. 1900, prawie że nie miała recenzyj w fachowych czasopismach. W „Przyczynku do historji ruchu psychoanalitycznego" przytoczyłem, jako przykład nastawienia kół psychjatrycznych wiedeńskich, rozmowę z pewnym asystentem, który napisał książkę przeciw moim naukom, ale nie przeczytał „Interpretacji". Powiedziano mu w klinice, że to nie warte fatygi. Pan ten, który został od tego czasu profesorem nadzwyczajnym, pozwolił sobie zdementować treść tej rozmowy, powątpiewając wogóle o wierności mojego wspomnienia. Podtrzymują każde słowo swojej ówczesnej relacji.

Gdy zrozumiałem, z jakiemi koniecznościami się zetknąłem, stępiła się moja wrażliwość. Stopniowo też kończyło się moje odosobnienie. Z początku otoczyło

mnie w Wiedniu małe grono uczniów; po r. 1906 stało się wiadome, że psychjatrzy zuryscy, E. Bleuler, jego asystent C. G. Jung i inni żywo interesują się psychoanalizą. Nawiązano stosunki osobiste; na Wielkanoc r. 1908 spotkali się zwolennicy młodej nauki w Salzburgu i postanowili stale organizować takie zjazdy prywatne i wydawać czasopismo, które p. t. „Rocznik dla badań psychopatologicznych i psychoanalitycznych" było redagowane przez Junga. Bleuler i ja byliśmy wydawcami. Potem, z początkiem wojny światowej, czasopismo to zawiesiliśmy. Jednocześnie z przystąpieniem Szwajcarów, obudziło się i wszędzie w Niemczech zainteresowanie psychoanalizą, która stała się przedmiotem licznych wypowiedzi literackich i żywych dyskusyj na zjazdach naukowych. Przyjęcie nie było nigdzie przyjazne lub życzliwe. Po najkrótszej znajomości z psychoanalizą, nauka niemiecka zgodnie ją odrzuciła.

Nie mogę naturalnie i dziś jeszcze wiedzieć, jaki będzie ostateczny sąd potomności o wartości psychoanalizy dla psychjatrji, psychologji czy też nauk humanistycznych wogóle. Ale sądzę, że gdy czasy, które przeżyliśmy, znajdą kiedyś dziejopisa, będzie on musiał przyznać, że zachowanie się ówczesnych jej przedstawicieli nie było dla niemieckiej nauki chlubne. Powołuję się przytem nie na fakt odrzucenia ani na stanowczość, z jaką to uczyniono; jedno i drugie było łatwo zrozumieć, odpowiadało jedynie oczekiwaniu i, bądź co bądź, nie mogło rzucić cienia na charakter przeciwników. Lecz dla pychy tego roz-

miaru i bezsumiennej pogardy wobec logiki, dla brutalności i niesmaczności ataków niema wybaczenia. Można mi wytknąć, że jest dziecinadą dać się unieść po 15-tu latach takiej drażliwości; nie byłbym też tego zrobił, gdybym nie miał do dodania jeszcze czego innego. Po latach, gdy podczas wojny światowej chór wrogów postawił narodowi niemieckiemu zarzut barbarzyństwa, w którym to zarzucie spotyka się wszystko, o czem tutaj wspomniałem, bolało przecież bardzo, że nie można było zaprzeczyć temu z własnego doświadczenia.

Jeden z przeciwników chlubił się głośno, że nakazuje milczenie swoim pacjentom, gdy zaczynają mówić o rzeczach seksualnych; i widocznie z tej techniki wywodził jakieś prawo sądzenia o etjologicznej roli seksualności w nerwicach. Abstrahując od afektywnych oporów, które dają się tak łatwo wyjaśnić według teorji psychoanalitycznej, że nie mogą nas zbałamucić, — główną przeszkodą dla porozumienia wydawała mi się okoliczność, że przeciwnicy widzieli w psychoanalizie wytwór spekulatywnej mojej fantazji i nie chcieli uwierzyć w długą, cierpliwą pracę bez ustanowionych założeń, jaka została nałożona do jej rozbudowy. Ponieważ, według ich mniemania, analiza nie miała nic wspólnego z doświadczeniem i obserwacją, uważali się też za uprawnionych do odrzucenia jej bez doświadczenia własnego. Inni, którzy nie czuli się tak mocni w tego rodzaju przekonaniach, powtórzyli klasyczny manewr oporny, polegający na niezaglądaniu do mikroskopu, by nie zoba-

czyć tego, czemu się zaprzeczyło. Wogóle jest zastanawiające, jak niepoprawnie zachowuje się większość ludzi, kiedy wobec nowej rzeczy pozostawieni są własnemu sądowi. Przez wiele lat, a i dziś jeszcze, słyszałem od „życzliwych" krytyków, że do tego a tego punktu psychoanaliza ma rację, ale, że od tego punktu przesadza i niesłusznie uogólnia. A wiem przytem, że niema nic trudniejszego nad rozgraniczenie tego rodzaju, oraz, że sami ci krytycy przed paru dniami czy tygodniami nie mieli zupełnie pojęcia o rzeczy.

Oficjalne wyklęcie psychoanalizy miało ten skutek, że analitycy się połączyli. Na drugim zjeździe w Norymberdze w r. 1910, na wniosek S. Ferencziego, zorganizowali się oni w „Międzynarodowem Zjednoczeniu Psychoanalitycznem" („Internationale Psychoanalytische Vereinigung"), które dzieliło się na ośrodki miejscowe i stało pod kierownictwem prezesa. Zjednoczenie to przetrwało wojnę, istnieje jeszcze dzisiaj i obejmuje grupy miejscowe: Wiedeń, Berlin, Budapeszt, Zurych, Londyn, Holandję, New York, Pan-Amerykę, Moskwę i Kalkuttę. Na pierwszego prezesa poleciłem wybrać C. G. Junga; wybór, jak okazało się później, był bardzo nieszczęśliwy. Psychoanaliza nabyła wówczas drugie pismo, „Zentralblatt für Psychoanalyse", redagowane przez Adlera i Stekla, a wkrótce potem trzecie, „Imago", przeznaczone przez nie lekarzy H. Sachsa i O. Ranka do stosowania analizy do nauk humanistycznych. Wkrótce potem wydał Bleuler swoją rozprawę poświęconą obronie psychoanalizy („Die Psychoanalyse Freuds",

1910). I choć było bardzo miło, że sprawiedliwość i logika doszły w sporze do głosu, praca Bleulera nie mogła przecież całkowicie mnie zadowolić. Dążyła ona zanadto do pozoru bezstronności; nie jest dziełem przypadku, że właśnie jej autorowi zawdzięczamy wprowadzenie do naszej nauki cennego pojęcia ambiwalencji. W późniejszych rozprawach zajął Bleuler stanowisko tak przeciwne naukowej budowli psychoanalitycznej, odrzucił lub poddał wątpliwości tak istotne jej części, że ze zdumieniem się zastanawiałem, co z tego może pozostać jako wartość dla niego. A jednak, nietylko jaknajodważniej występował później w obronie „psychologji głębin", ale oparł na niej również swoje, głęboko ujęte, przedstawienie schizofrenij. Bleuler zresztą niedługo pozostał w „Międzynarodowem Zjednoczeniu Psychoanalitycznem"; wystąpił zeń naskutek niesnasek z Jungem — i „Burghölzli"[1] przepadło dla analizy.

Oficjalna opozycja nie mogła w Niemczech ani w innych krajach powstrzymać rozkrzewienia psychoanalizy. Na innem miejscu (w „Przyczynku do historji ruchu psychoanalitycznego") prześledziłem etapy jej rozwoju i tam również wymieniłem tych, co wybili się jako jej przedstawiciele. W r. 1909 Jung i ja zostaliśmy powołani przez G. Stanley Hall'a do Ameryki, aby tam w Clark University (Worce-

[1] Nazwa kliniki psychjatrycznej Uniwersytetu Zuryskiego, której dyrektorem był wówczas prof. Bleuler. (Przyp. tłumacza).

ster, Mass.,), którego Hall był prezesem, wykładać przez tydzień (w języku niemieckim) z okazji dwudziestolecia tej instytucji. Hall był cenionym — i słusznie — psychologiem i pedagogiem, który już od lat włączył psychoanalizę do swego nauczania; było w nim coś z impresarja wielkich ludzi, który lubi wznosić autorytety i znowu je strącać. Spotkaliśmy tam też James J. Putmana, neurologa z Harvard, który pomimo swego wieku zachwycał się psychoanalizą i ujął się za jej wartością kulturalną i czystością jej zamierzeń, rzucając na szalę całą powagę swej powszechnie szanowanej osoby. W znakomitym tym człowieku, który przez reakcję na skłonność do nerwicy natręctwa nastawiony był przeważnie etycznie, raziło nas tylko wymaganie, aby powiązać psychoanalizę z określonym systemem filozoficznym i postawić ją na usługi dążności moralnych. Również spotkanie z filozofem Williamem James zrobiło na mnie trwałe wrażenie. Nie mogę zapomnieć, jak podczas przechadzki James nagle stanął, wręczył mi swoją tekę i poprosił, bym poszedł naprzód, dodając, że sam nadejdzie niebawem, gdy tylko skończy ze zbliżającym się atakiem *angina pectoris*. W rok potem umarł na serce; odtąd zawsze sobie życzyłem podobnej nieustraszoności wobec bliskiej śmierci.

Miałem wtedy dopiero 53 lata, czułem się jeszcze młody i zdrów. Krótki pobyt w Ameryce dobrze wogóle podziałał na moje samopoczucie. W Europie czułem się jakby wzgardzony; tutaj przyjmowali mnie najlepsi jak równego sobie. Było to jak urzeczywist-



1 9 3 1

nienie niewiarygodnego dziennego marzenia, gdy w Worcester stanąłem na katedrze, by wygłosić swoje „Pięć wykładów o psychoanalizie". Psychoanaliza więc nie była już chimerą; stała się wartościową częścią rzeczywistości. Od czasu naszej wizyty nie straciła też w Ameryce gruntu pod nogami; stała się niezwykle popularna wśród laików i została przez licznych psychjatrów uznana za ważną część składową nauczania medycyny. Niestety, doznała ona tam również dużego rozwodnienia. Niejedno nadużycie, co nie ma z nią nic wspólnego, zostaje pokryte jej imieniem; brak w Ameryce sposobności do gruntownego wyspecjalizowania się w technice i w teorji psychoanalitycznej. Analiza zderza się też w Ameryce z behaviouryzmem, który w swej naiwności chlubi się tem, że wyłączył wogóle problem psychologiczny.

W latach 1911 — 1913 zostały w Europie wykonane dwa ruchy odszczepieńcze od psychoanalizy; zapoczątkowały je osoby, które poprzednio grały znaczną rolę w młodej nauce — Alfred Adler i C. G. Jung. Oba te ruchy wyglądały bardzo groźnie i szybko zjednały sobie wielu zwolenników. Siłę swą jednak zawdzięczały nie treści własnej, ale przynęcie uwolnienia się od gorszących rezultatów psychoanalizy, chociaż nie zaprzeczano już faktycznemu jej materjałowi. Jung spróbował przełożyć fakty psychoanalityczne na abstrakcję, na twór nieosobisty i niehistoryczny, przez co chciał sobie zaoszczędzić uznania seksualności dziecięcej i kompleksu Edypa, jakoteż konieczności analizowania dzieciństwa. Ad-

ler bardziej jeszcze, zdawało się, oddalił się od psychoanalizy. Odrzucił znaczenie seksualności wogóle, sprowadził tworzenie się charakteru i psychonerwicy wyłącznie do dążenia człowieka do władzy i jego potrzeby rekompensaty za ustrojowe poczucie niższości — i zniweczył wszystkie nowe osiągnięcia psychologiczne analizy. To jednak, co Adler odrzucił, wdarło się pod inną nazwą do jego zamkniętego systemu; jego „protest męski" nie jest niczem innem, jak niesłusznie useksualizowanem tłumieniem. Krytyka, wobec obu heretyków, wystąpiła łagodnie; mogłem tylko to osiągnąć, że zarówno Adler jak Jung zrezygnowali z nazwania swoich nauk „psychoanalizą". Dzisiaj, po dziesięciu latach, można stwierdzić, że obie te próby przeszły bez szkody dla psychoanalizy.

Jeśli jakaś wspólnota oparta jest na zgodności co do pewnych punktów kardynalnych, to jest zrozumiałe samo przez się, że występują z niej ci, którzy zaniechali tego wspólnego terenu. A jednak odstąpienie dawnych uczniów bywało mi często poczytywane za winę, jako oznaka mojej nietolerancji; lub widziano w tem wyraz szczególnego, ciążącego na mnie zrządzenia. Niechaj wystarczy, że wskażę na fakt, iż tym, co mnie opuścili, Jungowi, Adlerowi, Steklowi i niewielu innym, przeciwstawia się duża ilość osób, które, jak Abraham, Eitingon, Ferenczi, Rank, Jones, Brill, Sachs, pastor Pfister, van Emden, Reik i in. od piętnastu blisko lat wiernie ze mną współpracują

i przeważnie związani są ze mną niezmąconą przyjaźnią. Wymieniłem tutaj tylko najstarszych swoich uczniów, którzy zdobyli sobie już chlubne imię w literaturze psychoanalizy. Pominięcie innych nie znaczy, że ich cenię mniej; właśnie śród tych, którzy są młodzi i późno przystąpili, są talenty, po których można się wiele spodziewać. Ale muszę chyba obronić się tem, że człowiek nietolerancyjny i opanowany przez pychę nie mógłby nigdy związać tak znacznej garstki osób duchowo wybitnych, zwłaszcza, gdyby nie rozporządzał większemi przynętami materjalnemi, niż ja.

Wojna światowa, która zburzyła tyle innych organizacyj, nie mogła dotknąć naszej „Międzynarodówki". Pierwsze po wojnie spotkanie nastąpiło w r. 1920 w Hadze, na gruncie neutralnym. Wzruszający był widok gościnnych Holendrów, gdy zajęli się wygłodniałymi i zbiedniałymi środkowo-europejczykami; o ile wiem, pierwszy to raz w zburzonym świecie zasiedli Niemcy i Anglicy przyjaźnie przy jednym stole, powodowani interesami nauki. W Niemczech, jak również w innych krajach zachodnich, wojna zwiększyła jeszcze zainteresowanie psychoanalizą. Obserwacja neurotyków wojennych otworzyła wreszcie oczy lekarzom na znaczenie psychogenezy dla zakłóceń neurotycznych; niektóre z naszych koncepcyj psychologicznych — „nabycie choroby", „ucieczka do choroby" — stały się szybko popularne. Na ostatni przed upadkiem zjazd w Budapeszcie, w r. 1918, rządy sprzymierzone państw środkowych wysłały oficjal-

nych przedstawicieli, którzy zapowiedzieli urządzenie stacyj psychoanalitycznych celem leczenia neurotyków wojennych. Nie doszło już do tego. Również dalekoidące plany jednego z najlepszych naszych członków, dr. Antoniego v. Freund, zmierzające do stworzenia w Budapeszcie ośrodka nauki i terapji analitycznej, rozchwiały się z powodu przewrotów politycznych, jakie wkrótce nastąpiły, oraz przedwczesnej śmierci tego niezastąpionego człowieka. Część jego pomysłów urzeczywistnił później Max Eitingon, stwarzając w r. 1920 poliklinikę psychoanalityczną w Berlinie. W ciągu krótkiego panowania bolszewików na Węgrzech zdołał jeszcze Ferenczi rozwinąć owocną działalność profesorską, jako oficjalny przedstawiciel psychoanalizy w uniwersytecie. Po wojnie zachciało się naszym przeciwnikom obwieścić, że doświadczenie dało druzgocący argument przeciwko słuszności twierdzeń psychoanalitycznych. Nerwice wojenne dowiodły rzekomo zbyteczności momentów seksualnych w etjologji schorzeń neurotycznych. Ale był to tryumf lekkomyślny i przedwczesny. Z jednej bowiem strony, nikt nie mógł był przeprowadzić gruntownej analizy przypadku nerwicy wojennej; nie było więc poprostu żadnych pewnych danych o motywacji takich przypadków — i z takiej niewiedzy nie wolno było przecież wniosków wyciągać. Z drugiej strony, psychoanaliza oddawna ukształtowała pojęcie narcyzmu i nerwicy narcystycznej, którego treścią było związanie libido z jaźnią, zamiast z objektem. T. zn. więc, że zwy-

kle stawiano psychoanalizie zarzut, iż nienależycie rozszerzyła pojęcie seksualności; ale gdy w polemice było wygodnie inaczej, nie mówiono o tem jej przewinieniu i znowu wypominano jej seksualność, pojętą w znaczeniu najwęższem.

Historja psychoanalizy, abstrahując od katartycznej prehistorji, rozkłada się dla mnie na dwa odcinki. Na pierwszym stałem sam i musiałem całą pracę sam robić; tak było od r. 1895 —96 począwszy do r. 1906 czy 1907. Na drugim odcinku, od owego czasu po dzień dzisiejszy, zdobywały sobie przyczynki moich uczniów i współpracowników znaczenie coraz większe — tak, że obecnie, ciężko zachorowawszy i napomniany o bliskim końcu, mogę z wewnętrznym spokojem myśleć o zaprzestaniu własnej pracy. Ale to właśnie wyklucza, iżbym postępy psychoanalizy na drugim odcinku przedstawił w tym „Wizerunku własnym" równie obszernie, co stopniową jej rozbudowę na odcinku pierwszym, który sam jeden tylko wypełniony jest moją działalnością. Czuję się jedynie upoważniony do wymienienia tutaj tych nowych zdobyczy, do których wybitnie się przyczyniłem, a więc przedewszystkiem w dziedzinach narcyzmu, nauki o popędach i zastosowania psychoanalizy do psychoz.

Muszę dodać, że kompleks Edypa, w miarę wzrostu doświadczenia, okazywał się coraz wyraźniej jako jądro psychonerwicy. Był on zarówno szczytowym punktem dziecięcego życia seksualnego, jak punktem węzłowym z którego biegły wszystkie póź-

niejsze rozwinięcia. Tem samem jednak rozwiała się nadzieja wykrycia zapomocą psychoanalizy specyficznego dla nerwicy momentu. Trzeba było sobie powiedzieć, — jak trafnie umiał to wyrazić Jung w swym wczesnym okresie analitycznym, — że psychonerwica nie ma specjalnej, jej tylko właściwej treści i, że neurotycy rozbijają się o te same rzeczy, które ludzie normalni szczęśliwie przezwyciężają. Zrozumienie tego nie oznaczało wcale rozczarowania; było w najlepszej zgodzie ze zrozumieniem innem — że wykryta przez analizę psychologja głębin jest właśnie psychologją normalnego życia duchowego. Przytrafiło się nam to samo, co przytrafiło się chemikom; duże różnice jakościowe wytworu sprowadziły się do zmian ilościowych w możliwościach połączeń tych samych pierwiastków.

W kompleksie Edypa okazało się libido związane z wyobrażeniem osób rodziców. Ale był czas, kiedy takich objektów nie było. Wynikło stąd, podstawowe dla teorji libido, pojęcie stanu, w którym libido napełniało jaźń, t. zn. że obrało sobie jaźń za objekt. Ten stan można było nazwać narcyzmem lub miłością własną. Najbliższe rozważania potwierdziły, że ten stan nie zostaje właściwie nigdy zniesiony bez reszty; na cały czas życia pozostaje jaźń wielkim zbiornikiem libido, z którego wychodzą obsadzenia objektu i do którego biegnie ono od objektów zpowrotem. Libido narcystyczne przekształca się więc nieprzerwanie w libido objektowe i naodwrót. Jakie rozmiary może to przekształcenie osią-

gnąć, tego doskonałym przykładem jest seksualne lub uwzniośłone zakochanie, dochodzące aż do poświęcenia siebie. Podczas, gdy dotychczas w procesie tłumienia darzono uwagą tylko to co stłumione, wyobrażenia te umożliwiły słuszną ocenę i tego, co tłumi. Było powiedziane, że tłumienie zostaje zapoczątkowane przez działające w jaźni popędy samozachowawcze („popędy jaźni") i dokonane na popędach libido. Teraz, gdy i popędy samozachowawcze uznano jako będące natury libidowej, gdy je uznano za narcystyczne libido, okazało się, że proces tłumenia zachodzi wewnątrz samego libido. Libido narcystyczne stanęło przeciw objektowemu; interes samozachowania bronił się przeciw roszczeniu miłości objektowej, a więc i przeciw roszczeniu węższej seksualności.

Żadnej innej potrzeby nie odczuwa się w psychologji tak silnie, jak potrzebę produktywnej nauki o popędach, na której można dalej budować. Ale nie istnieje nic podobnego; psychoanaliza musi pomacku szukać nauki o popędach. Najpierw przeciwstawiła ona popędom jaźni (samozachowanie, głód) popędy libidowe (miłość); potem przeciwstawienie to zastąpiła innem, libido narcystycznemu przeciwstawiła libido objektowe. Nie było to oczywiście ostatniem jej słowem; względy biologiczne zabraniały, zdawało się, przyjąć jeden jedyny rodzaj popędów i tem się zadowolić.

W pracach, napisanych w latach ostatnich („Jenseits des Lustprinzips", „Massenpsychologie und Ich-

Analyse", „Das Ich und das Es"), dałem ujście długo powstrzymywanej skłonności do spekulacji; wziąłem tam również pod uwagę nowe rozwiązanie zagadnienia popędu. Samozachowanie i zachowanie gatunku podciągnąłem wspólnie pod pojęcie Erosa i przeciwstawiłem mu pracujący pocichu popęd śmierci lub destrukcyjny. Popęd ujmuję najogólniej jako rodzaj elastyczności tego, co żyje, — jako pochop do odtworzenia sytuacji, która istniała kiedyś i którą zniosło zakłócenie zewnętrzne. Tę konserwatywną w swej istocie naturę popędów wyjaśniają zjawiska przymusu powtarzania. Z współdziałania i przeciwdziałania Erosa i popędu śmierci wynika dla nas obraz życia.

Pozostaje kwestją otwartą, czy ta konstrukcja wytrzyma próbę użyteczności. Przyświecało jej coprawda dążenie do utrwalenia jednego z najważniejszych teoretycznych pojęć psychoanalizy; ale wybiega ona daleko poza psychoanalizę. Kilkakrotnie słyszałem lekceważącą wypowiedź, że nie można przypisywać wartości nauce, której naczelne pojęcia są tak niedokładne, jak pojęcia libido i popędu w psychoanalizie. Zarzut ten jednak opiera się na całkowitem zapoznaniu stanu rzeczy. Jasne pojęcia zasadnicze i ostro zarysowane określenia możliwe są tylko w naukach humanistycznych, o ile te nauki chcą zamknąć dziedzinę faktów w ramach systemu intelektualnego. W naukach przyrodniczych, do których należy psychologja, taka jasność pojęć naczelnych jest zbędna, ba! niemożliwa. Zoologja i bota-

nika nie zaczęły od poprawnych i dostatecznych określeń zwierzęcia i rośliny; biologja i dziś jeszcze nie potrafi wypełnić pojęcia tego, co żyje, treścią niewątpliwą. Ba, nawet fizyka spóźniłaby się o cały swój rozwój, gdyby musiała przeczekać, aż jej pojęcia ciała, siły, ciążenia i inne osiągną pożądaną jasność i precyzję. Zawsze pozostawia się wyobrażenia zasadnicze, lub pojęcia naczelne dyscyplin nauk przyrodniczych, początkowo nieokreślonemi, wyjaśnionemi tymczasem przez wskazanie na sam teren zjawisk, z którego pochodzą; i dopiero przez postępującą analizę materjału obserwacyjnego stają się one jasne, wolne od sprzeczności, i nabierają treści. Odczuwałem to zawsze jako grubą niesprawiedliwość, że nie chciano traktować psychoanalizy jak inną naukę przyrodniczą. Odmowa ta znajdowała wyraz w najzaciętszych krytykach. Psychoanalizie zarzuca się każdą jej wadliwość i niedoskonałość, podczas gdy na obserwacji oparta nauka nie może przecież postępować inaczej, jak wypracowując swoje wyniki częściowo i rozwiązując stopniowo swoje zadania. Więcej! Kiedy usiłowaliśmy zdobyć uznanie dla czynności seksualnej, która tak długo była zapoznana, napiętnowano teorję psychoanalityczną jako „panseksualizm"; gdy podkreślaliśmy przeoczone dotychczas dodatkowe znaczenie wrażeń wczesnego dzieciństwa, musieliśmy się nasłuchać, że psychoanaliza zaprzecza czynnikom ustrojowości i dziedziczności, — czego nie mieliśmy nigdy na myśli. Było to przeczenie za każdą cenę i wszelkiemi środkami.

Już we wcześniejszych okresach swojej pracy spróbowałem osiągnąć, wychodząc z postrzeżenia psychoanalitycznego, bardziej ogólne punkty widzenia. W r. 1911, w małej rozprawie („Formulierungen über die zwei Prinzipien des psychoanalytischen Geschehens"), w sposób z pewnością nie oryginalny, podkreśliłem prymat zasady rozkoszy-przykrości w życiu psychicznem i zastąpienie jej t. zw. „zasadą rzeczywistości". Później ośmieliłem się wysunąć „metapsychologję". Nazwałem tak pewne zapatrywanie, w którem każdy proces psychiczny zostaje oceniony według trzech spółrzędnych dynamiki, topiki i ekonomji; widziałem tu najdalej wysunięty cel, jaki psychologja może osiągnąć. Próba ta pozostała kadłubem; po kilku rozprawach (Popędy i ich losy — Tłumienie — Nieświadomość — Smutek i melancholja) przerwałem, i chyba dobrze zrobiłem, gdyż nie był jeszcze czas na takie ugruntowania teoretyczne. W ostatnich swoich pracach spekulatywnych podjąłem się rozczłonkowania naszego aparatu psychicznego na podstawie analitycznego zużytkowania faktów patologicznych — i rozłożyłem go na jaźń, ono i nad-jaźń („Das Ich und das Es", 1922). Nad-jaźń jest sukcesorką kompleksu Edypa i przedstawicielką etycznych wymagań człowieka.

Nie chciałbym jednak wywołać wrażenia, jakobym w ostatnim okresie swojej pracy odwrócił się od cierpliwego, żmudnego postrzegania i całkiem oddał się spekulacji. Zawsze pozostałem raczej w ścisłym kon-

takcie z materjałem analitycznym i nigdy nie zaprzestałem opracowywania tematów specjalnych, klinicznych lub technicznych. Tam nawet, gdzie oddalałem się od obserwacji, starannie unikałem zbliżenia z właściwą filozofją. Tę wstrzemięźliwość bardzo mi ułatwiła niezdolność ustrojowa. Skłaniałem się zawsze ku ideom G. Th. Fechnera, i w ważnych punktach opierałem się też na tym myślicielu. Daleko idące zbieżności psychoanalizy z filozofją Schopenhauera — nietylko bowiem, że wysuwał on prymat afektywności i doniosłe znaczenie seksualności, lecz nawet znał mechanizm tłumienia — nie dają się sprowadzić do mojej znajomości jego nauki. Schopenhauera czytałem w bardzo późnym okresie swego życia. Nietzschego, tego drugiego filozofa którego przeczucia i pojęcia pokrywają się w sposób często zadziwiający z mozolnymi wynikami psychoanalizy, omijałem przez długi czas z tego właśnie powodu; zależało mi przecież nietyle na prawie pierwszeństwa, ile na swojem nieuprzedzeniu.

Psychonerwice były pierwszym, długo też jedynym objektem psychoanalizy. Żaden analityk nie miał wątpliwości, że nie ma racji praktyka lekarska, która schorzenia te trzyma zdala od psychoz i łączy z chorobami nerwowemi organicznemi. Nauka o psychonerwicach należy do psychjatrji, jest nieodzowna jako wstęp do psychjatrji. Analityczne badanie psychoz wydaje się dzisiaj wykluczone z powodu swej terapeutycznej bezcelowości. Umysłowo choremu brak

naogół zdolności przeniesienia dodatniego — tak, że główny środek techniki analitycznej nie daje się zastosować. Ale niejeden dostęp jest przecież możliwy. Niezawsze brak przeniesienia jest tak całkowity, że nie możnaby z niem czegoś dokonać; w przypadkach rozstrojów psychicznych, lekkich zmian paranoicznych, niedorozwiniętej schizofrenji, osiągnęło się zapomocą psychoanalizy niewątpliwe rezultaty. Było też korzystne przynajmniej dla nauki, że w wielu wypadkach może rozpoznanie wahać się przez dłuższy czas między psychonerwicą a dementia praecox; tak ważne wyjaśnienia mogła dać rozpoczęta próba terapeutyczna, zanim trzeba było ją przerwać. Najbardziej jednak należy liczyć się z tem, że w psychozach wychodzi na jaw tyle rzeczy dla każdego widocznych, które w psychonerwicach trzeba żmudnie wydobywać z głębin. Najlepszych objektów do demonstracji wielu twierdzeń psychoanalitycznych dostarcza z tego powodu klinika psychjatryczna. Musiało więc nastąpić to, że analiza wkrótce znalazła drogę do objektów postrzeżenia psychjatrycznego. Bardzo wcześnie (w r. 1896) udało mi się w przypadku paranoi stwierdzić te same momenty etjologiczne, oraz istnienie tych samych afektywnych kompleksów, co w psychonerwicy. Jung wyświetlił zagadkowe stereotypje w postaciach dementywnych chorób umysłowych przez sprowadzenie ich do historji życia pacjentów. Bleuler w rozmaitych psychozach pokazał mechanizmy, jakie zostały wyśledzone u neurotyków. Odtąd nie ustawali anali-

tycy w zgłębianiu rozmaitych psychoz. Zwłaszcza odkąd posługiwano się pojęciem narcyzmu, udawało się czasem rzucić okiem za mur. Najdalej chyba zaszedł Abraham w wyświetleniu melancholij. Na tym terenie coprawda nie cała wiedza przekształca się obecnie w moc leczniczą; ale i sama zdobycz teoretyczna ma znaczenie niepoślednie i może poczekać na swe zastosowanie w praktyce. Na dalszą metę nawet psychjatrzy nie mogą się oprzeć sile dowodu ich własnego materjału. W psychjatrji niemieckiej dokonywa się teraz rodzaj *pénétration pacifique* analitycznych punktów widzenia. Ciągle się zastrzegając, że nie chcą być psychoanalitykami, że nie należą do szkoły „ortodoksyjnej", której przesady nie podzielają, a zwłaszcza — że nie wierzą w przepotężny czynnik seksualny, większość młodych uczonych przyswaja sobie przecież jakąś część nauki psychoanalitycznej i, na swój sposób, zastosowuje ją do materjału. Wszystko wskazuje na to, że w tym kierunku pójdą dalsze rozwinięcia.

VI

Śledzę teraz zdaleka, na tle jakich objawów reakcji odbywa się wjazd psychoanalizy do długo opornej Francji. Działa to jak odtworzenie dawnego przeżycia, ale ma również swoje rysy szczególne. Rozbrzmiewają zarzuty niesłychanie naiwne, jak np. że delikatność francuską razi pedanterja i ociężałość terminów psychoanalitycznych (przypomina się przecież nieśmiertelna postać Lessinga, kawaler Riccaut de la Marliniere!). Poważniej brzmi inne zdanie którego nie powstydził się profesor psychologji w Sorbonnie; mianowicie, że *le génie latin* nie znosi wogóle sposobu myślenia psychoanalizy. Wyraźnie przytem poświęca się sprzymierzeńców anglo-saskich, którzy uchodzą za jej zwolenników. Ten, kto to słyszy, musi uwierzyć naturalnie, że *le génie teutonique,* natychmiast po urodzeniu się psychoanalizy, przycisnął ją do łona jako swoje dziecię najmilsze.

We Francji, pierwsi, którzy zaczęli interesować się psychoanalizą, byli literaci. Aby zrozumieć to zjawisko, trzeba sobie przypomnieć, że — interpretacją marzeń sennych — psychoanaliza przekroczyła granicę sprawy czysto lekarskiej. Między jej wystąpieniem w Niemczech a obecnem we Francji dokonały się różnorakie jej zastosowania do dziedzin: literatury, historji sztuki, historji religji, prehistorji,

mitologji, etnologji, pedagogiki i t. d. Wszystkie te sprawy niewiele mają z medycyną wspólnego; związane są z nią właśnie tylko za pośrednictwem psychoanalizy. Nie mam więc prawa zająć się tu niemi szczegółowo. Ale też nie mogę ich całkiem pominąć; z jednej bowiem strony są one nieodzowne do stworzenia słusznego wyobrażenia o wartości i istocie psychoanalizy, z drugiej zaś — podjąłem się przecież przedstawienia tutaj dzieła swego życia, a większość tych zastosowań została zapoczątkowana przez moje prace własne. Zdarzało się bowiem, że zbaczałem z drogi, by zaspokoić zainteresowania pozalekarskie. Inni, nietylko lekarze, ale również fachowcy, poszli potem moim śladem i zapuścili się daleką w daną dziedzinę. Ponieważ jednak, zgodnie z programem, ograniczę się do doniesienia o własnych swoich przyczynkach, mogę dać czytelnikowi tylko niedostateczny obraz rozmiarów i znaczenia psychoanalizy stosowanej.

Szereg bodźców dało mi badanie kompleksu Edypa; stopniowo poznawałem jego wszechobecność. Jeśli już zawsze zagadkowy był wybór, ba! stworzenie przerażającego materjału i wstrząsające działanie jego przedstawienia poetyckiego, oraz istota tragedji przeznaczenia wogóle, to tłumaczyło się to zrozumieniem, że została tutaj ujęta prawowitość procesów psychicznych w pełnem znaczeniu afektywnem. Zrządzenie i wyrocznia były tutaj tylko materjalizacją wewnętrznej potrzeby; że bohater grzeszył bez swojej wiedzy i przeciw swemu zamiarowi, rozumia-

ło się jako słuszny wyraz nieświadomej natury jego przestępczych dążności. Był już tylko jeden krok od zrozumienia tragedji przeznaczenia do postawienia tragedji charakteru Hamleta, którą od trzystu lat podziwiano, nie umiejąc podać jej sensu, ani odgadnąć motywów poety. Było przecież zastanawiające, że ten przez poetę stworzony neurotyk rozbija się o kompleks Edypa, jak liczni jego towarzysze w świecie rzeczywistym; gdyż Hamlet ma za zadanie pomścić na kim innym czyny, składające się na treść dążenia edypowego, przyczem jego niejasne poczucie winy własnej działa na niego porażająco. Shakespeare napisał Hamleta krótko po śmierci swego ojca[1]. Moje wskazówki dotyczące analizy tej tragedji zostały wypracowane później gruntownie przez Ernesta Jones. Ten sam przypadek wziął potem Otto Rank jako punkt wyjścia swoich badań nad wyborem materjału przez dramatopisarzy. W dużej swojej książce o „Motywie kazirodczym" pokazał Rank, jak często pisarze wybierają do opracowania akurat motywy sytuacji Edypa, i prześledził przemiany, odmiany i złagodzenia tego materjału w literaturze światowej.

---

[1] (Przyp. z 1935 r.). Jest to konstrukcja, którą chciałbym najwyraźniej cofnąć. Nie wierzę już, iżby aktor William Shakespeare był autorem tak długo przypisywanych mu dzieł. Od czasu opublikowania książki I. Th. Looney'a p. t. „Shakespeare Identified" jestem prawie przekonany, że za tem nazwiskiem kryje się w istocie Edward de Vere, Earl of Oxford.

Nasunęło się teraz przejście wogóle do analizy twórczości poetyckiej i artystycznej. Zrozumiano, że kraina fantazji jest „szczędzeniem", urządzonem przy boleśnie odczuwanem przechodzeniu od zasady rozkoszy do zasady rzeczywistości, aby pozwolić na namiastkę zaspokojenia popędowego, z którego w życiu prawdziwem trzeba było zrezygnować. Artysta wycofuje się jak neurotyk z niezadowolającej rzeczywistości w tę krainę fantazji; tylko, że w przeciwieństwie do neurotyka, potrafi on znaleźć drogę powrotną i stanąć pewną nogą na gruncie rzeczywistości. Jego twory, dzieła sztuki, są zaspokojeniem przez fantazję życzeń nieświadomych, zupełnie jak marzenia senne, z któremi mają one wspólną również cechę kompromisu, gdyż i senne marzenia muszą unikać otwartego konfliktu z mocami tłumienia. Ale, w przeciwieństwie do aspołecznych, narcystycznych wytworów marzenia sennego, dzieła sztuki są obliczone na udział innych ludzi; mogą w nich ożywić i zaspokoić te same życzenia nieświadome. Posługują się nadto—jako premją, która jest przynętą—przyjemnością dostrzegania piękna formy. Zadaniem psychoanalizy było tu skonstruować z wzajemnego stosunku wrażeń życiowych, przypadkowych losów, oraz dzieł artysty — jego konstytucję i czynne w niej uczucia popędowe, a więc to, co w nim jest ogólnoludzkiego. Z takim zamiarem wziąłem np. Leonarda da Vinci za przedmiot studjum, które opiera się na jednem jedynem, zakomunikowanem przez niego, wspomnieniu dzieciństwa, a które zmie-

rza w istocie do wytłumaczenia jego obrazu „Św. Anna samotrzeć". Moi przyjaciele i uczniowie podjęli potem liczne podobne analizy artystów i ich dzieł. Nie sprawdziło się, że rozkosz, przez dzieło sztuki doznana, cierpi z powodu zdobytego w ten sposób zrozumienia analitycznego. Laikowi, który może jednak spodziewa się tutaj zbyt wiele po psychoanalizie, trzeba przyznać, że nie rzuca ona światła na dwa zagadnienia, które prawdopodobnie najbardziej go interesują. Analiza nie może dopomóc do wyświetlenia kwestji uzdolnienia artystycznego, ani nie przypada jej odkrycie środków, zapomocą których artysta pracuje.

Na przykładzie małej, niebardzo zresztą wartościowej noweli „Gradiva" W. Jensena udało mi się dowieść, że wykoncypowane marzenia senne mogą być tak samo interpretowane, jak sny rzeczywiste; że więc w twórczości poety działają mechanizmy, znane nam z pracy marzenia sennego.

Moja książka o „Dowcipie i jego stosunku do nieświadomości" jest zboczeniem wprost z „Interpretacji marzenia sennego". Jedyny przyjaciel, który interesował się wtedy mojemi pracami, zwrócił mi uwagę, że moje interpretacje marzeń sennych sprawiają często „dowcipne" wrażenie. Aby wrażenie to wyświetlić, zacząłem badać dowcip i stwierdziłem, że istota jego polega na jego środkach technicznych, te zaś nie różnią się od sposobów „pracy marzenia sennego" — a więc zgęszczenia, przesunięcia, przedstawienia zapomocą przeciwieństwa, zapomocą cze-

goś mniejszego i t. d. Wiązało się z tem zbadanie ekonomiczne, jak dochodzi do skutku osiągnięcie przyjemności przez słuchającą dowcipu osobę. Odpowiedź brzmiała: przez chwilowe, po przynęcie, zniesienie nakładu tłumieniowego zapomocą ofiarowywanej premji rozkoszy (rozkosz wstępna).

Bardziej sam ceniłem swoje przyczynki do psychologji religji, które w r. 1907 rozpoczęły się stwierdzeniem niespodzianego podobieństwa między czynnościami przymusowemi a praktykami religijnemi (obrzędami). Nie znając jeszcze związków głębszych, określiłem nerwicę natręctwa jako zdeformowaną religję prywatną; religja byłaby niejako powszechną nerwicą natręctwa. Później, w r. 1912, wyraźne napomknienie Junga na daleko idące analogje między tworami duchowemi neurotyków a ludzi pierwotnych skierowało na ten temat moją uwagę. W czterech artykułach, zebranych w książce p. t. Totem i Tabu, pokazałem, że obawa przed kazirodztwem zaznacza się u pierwotnych jeszcze bardziej, niż u cywilizowanych i, że wywołała przedsięwzięcie specjalnych środków obronnych; zbadałem stosunek, zachodzący między zakazami tabu, w której to postaci występują pierwsze ograniczenia moralne, a ambiwalencją uczuć; i w pierwotnym systemie animizmu wykryłem zasadę przeceniania rzeczywistości psychicznej, „wszechpotęgi myśli", która to zasada jest również u podstawy magji. Przeprowadziłem wszędzie porównanie z nerwicą natręctwa i pokazałem, ile z założeń pierwotnego życia duchowego po-

zostaje jeszcze w mocy w tem zastanawiającem schorzeniu. Przedewszystkiem jednak przyciągał mię totemizm, ten pierwszy system organizacyjny plemion pierwotnych, w którym zaczątki ładu społecznego łączą się z rudymentarną religją i nieubłaganem panowaniem nielicznych zakazów tabu. Istota „czczona" jest tu początkowo zawsze zwierzęciem, od którego klan rzekomo pochodzi. Z różnych oznak można wnioskować, że wszystkie, najwyżej nawet stojące narody, przeszły ongi ten okres totemizmu.

Głównem mojem źródłem literatury do prac z tego zakresu były znane dizeła J. G. Frazera („Totemism and Exogamy", „The Golden Bough"), kopalnia wartościowych faktów i punktów widzenia. Lecz dla wyświetlenia zagadnień totemizmu zdziałał Frazer niewiele; kilkakrotnie zmieniał swój pogląd na rzecz, do gruntu burząc swój pogląd dawniejszy. Inni zaś etnolodzy i prehistorycy wydawali się równie niezdecydowani, jak niezgodni między sobą. Punktem wyjścia była dla mnie uderzająca zbieżność obydwu kanonów totemizmu, zabraniających zabijać totem i używać płciowo kobiet z tego samego klanu, — które to zakazy były tabu, — z podwójną treścią kompleksu Edypa, która brzmi: usunąć ojca, a matkę pojąć za żonę. Stąd wynikła pokusa zrównania totem z ojcem, co pierwotni i tak już czynili wyraźnie, czcząc je jako antenata klanu. Ze strony psychoanalitycznej przyszły mi z pomocą dwa fakty: szczęśliwe spostrzeżenie Ferencziego na dziecku, pozwalające przypuścić istnienie infantyl-

nego nawrotu do totemizmu, oraz analiza wczesnego lęku przed zwierzętami u dzieci, który tak często pokazywał, że zwierzę bywa dla dziecka postacią zastępczą ojca, na którą zostaje przesunięta obawa, mająca swe uzasadnienie w kompleksie Edypa. Niewiele już brakowało, aby poznać w ojcobójstwie jądro totemizmu i punkt wyjścia religji.

Uzupełnieniem stała się tu znajomość dzieła W. Robertson Smith'a, „Religja Semitów". Genjalny ten autor, fizyk i badacz biblji, jako istotną część totemizmu ukazał t. zw. „wieczerzę totem". Raz do roku bywało totem, zwierzę uważane pozatem za święte, uroczyście i z udziałem wszystkich członków szczepu zabijane, spożywane i potem opłakiwane. Z żałobą tą łączyło się wielkie święto.—Kiedy to powiązałam z przypuszczeniem Darwina, że ludzie żyli pierwotnie w hordach, z których każda była opanowana przez jednego jedynego, silnego, gwałtownego i zazdrosnego samca, — z wszystkich tych komponentów wytworzyła się hipoteza, albo powiedziałbym raczej wizja, następującego przebiegu: Ojciec pra-hordy, jako nieograniczony władca, rościł sobie prawo do wszystkich kobiet i przepędził lub pozabijał synów, którzy byli groźni jako rywale. Ale któregoś dnia sprzysięgli się przeciw niemu synowie, wspólnie go pokonali, zabili i spożyli — jego, który był ich wrogiem, ale również ich ideałem. Po tym czynie nie byli zdolni objąć w posiadanie schedy, ponieważ zawadzali sobie wzajem-

nie. Pod wpływem niepowodzenia i skruchy, znaleźli wreszcie sposób współżycia; połączyli się w klan braterski przez ustanowienie kanonów totemizmu, co miały wykluczyć możliwość powtórzenia takiego czynu, i gremjalnie wyrzekli się kobiet, z powodu których zabili ojca. Teraz musieli znaleźć sobie obce kobiety; stąd, ściśle z totemizmem związana, pochodzi egzogamja. „Wieczerza totem" była uroczystością, uwieczniającą pamięć o potwornym czynie, z którego pochodzi poczucie winy ludzkości (grzech pierworodny) i który dał początek organizacji społecznej, religji i ograniczeniom obyczajowym.

Niezależnie więc od tego, czy możliwość taka, jako historyczna, była do przyjęcia, powstanie religji zostało ujęte ze stanowiska kompleksu ojca i ambiwalencji, która kompleksem tym rządzi. Gdy zastąpienie ojca przez totem zostało poniechane, siejący strach i znienawidzony, czczony i zawiść budzący praszczur sam został uznany za obraz boga. Złość syna na ojca i jego tęsknota ojcowska walczyły ze sobą w coraz nowych kompromisowych tworach, przez które czyn ojcobójstwa, z jednej strony, był odpokutowany, z drugiej zaś miała być zachowana korzyść, jaka zeń wynikła. Szczególnie jasne światło rzuca to pojmowanie religji na psychologiczną podstawę chrześcijaństwa, w którem przecież obrzęd „wieczerzy totem" pozostał, w postaci ledwie zdeformowanej, jako komunja. Podkreślam, że rozpoznanie to nie pochodzi odemnie, ale

znajduje się już u Robertsona Smith'a i Frazera.

Th. Reik i etnolog G. Roheim nawiązali w licznych, godnych uwagi rozprawach do myśli zawartych w „Totem i Tabu", rozwinęli je, zgłębili, lub sprostowali. Sam kilkakrotnie jeszcze do nich powracałem przy badaniu „nieświadomego poczucia winy", któremu przypada tak wybitne znaczenie śród motywów cierpienia neurotycznego, oraz przy próbach ściślejszego powiązania psychologji jednostki z psychologją społeczną („Das Ich und das Es", „Massenpsychologie und Ich-Analyse"). Powoływałem się też na archaiczne dziedzictwo epoki hord ludzkich, celem wytłumaczenia podatności na hipnozę.

W innych zastosowaniach psychoanalizy, które przecież są godne powszechnego zainteresowania, udział mój jest nieznaczny. Od fantazyj poszczególnego neurotyka prowadzi szeroki szlak do tworów fantazyjnych mas i narodów, zawartych w mitach, w podaniach i bajkach. Mitologja stała się zakresem pracy O. Ranka; interpretacja mitów, sprowadzenie ich do znanych nieświadomych kompleksów dzieciństwa, zastąpienie tłumaczeń astralnych przez motywację człowieczą, — w wielu wypadkach było to owocem jego prac psychoanalitycznych. Również temat symboliki znalazł licznych badaczy w kole moich uczniów. Symbolika przysporzyła psychoanalizie wielu wrogów; niektórzy zbyt trzeźwi uczeni nigdy nie mogli jej wybaczyć uznania symbo-

liki, jaka wynikła z tłumaczenia marzeń sennych. Analiza jednak niewinna jest odkrycia symboliki; oddawna była ona znana w innych dziedzinach (folklor, podanie, mit), gdzie większą nawet gra rolę, niż w „mowie marzenia sennego".

Osobiście nie przyczyniłem się do zastosowania analizy do pedagogiki. Lecz było naturalne, że stwierdzenia analityczne, dotyczące życia seksualnego i rozwoju duchowego dzieci, zwróciły uwagę wychowawców i w nowem świetle ukazały im ich zadania. Jako niezmordowany pionier tego kierunku w pedagogice wysunął się na czoło pastor protestancki w Zurychu, O. Pfister, który potrafił połączyć pracę analityczną nawet z zachowaniem religijności — coprawda sublimowanej. Obok niego kroczą pani Dr. Hug-Hellmuth, Dr. S. Bernfeld w Wiedniu, oraz wielu innych[1]. Z zastosowania analizy do zapobiegawczego wychowania dzieci zdrowych, oraz korektury nie neurotycznych jeszcze, ale w swym rozwoju wykolejonych dzieci, wynikło ważne następstwo dla praktyki. Nie można już wykonywania psychoanalizy zastrzec tylko lekarzom i wykluczyć zeń laików. Lekarz, który nie odebrał specjalnego wykształcenia, jest pomimo swego dyplomu laikiem w psychoanalizie, — a nielekarz, po odpowiedniem przygotowaniu i przy sposobnem oparciu

---

[1] (Przyp. z 1935 r.). Właśnie analiza dzieci zrobiła od tego czasu ogromne postępy dzięki pracom pani Melanji Klein i Anny Freud, mojej córki.

o lekarza, może sprostać zadaniu analitycznego leczenia psychonerwic.

Przez jedno z tych rozwinięć, których powodzeniu daremnie byłoby się opierać, sam wyraz psychoanaliza stał się wieloznaczny. Będąc pierwotnie oznaczeniem pewnej metody terapeutycznej, jest on teraz również nazwą pewnej nauki, nauki o nieświadomie psychicznem. Nauka ta rzadko potrafi sama i bez reszty załatwić jakieś zagadnienie; ale wydaje się, że jest powołana, aby najrozmaitszym naukom dostarczyć ważnych przyczynków. Zakres stosowania psychoanalizy jest równie szeroki, co psychologji, której jest ona uzupełnieniem o ogromnej nośności.

Tak więc, spoglądając wstecz na niedoskonałą pracę swojego życia, mogę powiedzieć, że wiele rzeczy zapoczątkowałem i do niejednej zachęciłem, z czego w przyszłości ma się coś zrobić. Sam nie wiem oczywiście, czy będzie tego dużo, czy mało. Ale muszę wyrazić nadzieję, że otworzyłem drogę do ważnego, w naszem poznaniu, postępu.

BIBLJOGRAFJA

Pomijam prace histologiczne i przyczynki z czasów studjów i docentury. Późniejsze publikacje w formie książkowej wymieniam w kolejności chronologicznej.

1884. Ueber Coca.

1891. Klinische Studie über die halbseitige Zerebrallähmung der Kinder (wespół z Dr. O. Rie).

1891. Zur Auffassung der Aphasien.

1893. Zur Kenntnis der zerebralen Diplegien des Kindesalter.

1895. Studien über Hysterie (wespół z Józefem Breuerem).

1897. Die infantile Zerebrallähmung (w podręczniku Nothnagla).

1900. Die Traumdeutung. (Wyd. siódme 1922).

1901. Der Traum (w „Löwenfelds Grenzfragen", Wyd. trzecie 1922).

1901. Zur Psychopathologie des Alltagslebens (w formie książkowej — poraz pierwszy w r. 1904, wyd. dziesiąte 1924)

1905. Drei Abhandlungen zur Sexualtheorie. (Wyd. piąte 1922).

1905. Der Witz und seine Beziehung zum Unbewussten (Wyd. czwarte 1925).

1907. Der Wahn und die Träume in W. Jensens Gradiva. (Wyd. trzecie 1924).

1910. Ueber Psychoanalyse. (Wykłady w Worcester, Mass., Wyd. siódme 1924).

1910. Eine Kindheitserinnerung des Leonardo da Vinci. (Wyd. trzecie 1923).

1913. Totem und Tabu. (Wyd. trzecie 1922).

1916/18. Vorlesungen zur Einführung in die Psychoanalyse. (Wyd. czwarte 1922).

1920. Jenseits des Lustprinzips. (Wyd. trzecie 1923).
1921. Massenpsychologie und Ich-Analyse. (Wyd. drugie 1923).
1923. Das Ich und das Es.

Liczne moje rozprawy o psychoanalizie i jej zastosowaniach ukazały się w latach 1906—1922, zebrane w pięciu tomach („Sammlung kleiner Schriften zur Neurosenlehre"). Pochodzą one przeważnie z czasopism, których jestem wydawcą (Internat. Zeitschrift für Psychoanalyse, Imago).

W latach ostatnich podjęło Internat. psychoanalyt. Verlag w Wiedniu wydanie zbiorowe moich pism, w którem dotychczas (1924) ukazało się pięć tomów. Hiszpańskie wydanie zbiorowe (Obras Completas) również obejmuje już pięć tomów (staraniem Lopez Ballesteros'a, nakładem R. Castillo, Madryt).

DOPIS Z ROKU 1935

Wydawca tego zbioru „Wizerunków Własnych" nie przypuszczał, o ile wiem, że po upływie pewnego czasu będzie do któregoś z nich dodany ciąg dalszy. Możliwe, że dzieje się to tutaj poraz pierwszy. Powodem tego przedsięwzięcia stało się życzenie nakładcy amerykańskiego, aby książeczkę tę w nowem wydaniu przedstawić publiczności. W Ameryce ukazała się ona w r. 1927 (nakładem Brentano) p. t. „An Autobiographical Study", ale niezręcznie z innem mojem studjum złączona i przez tytuł tamtego („The Problem of Lay-Analysis") usunięta w cień. Dwa tematy przewijają się przez nią — losów mojego życia i historji psychoanalizy. Łączą się one jaknajściślej. W „Wizerunku" widać, jak psychoanaliza staje się treścią mojego życia; odpowiada on również słusznemu przypuszczeniu, że nic z tego, co osobiście mi się przytrafiło, nie zasługuje na uwagę obok mojego ustosunkowania do nauki. Nakrótko przed sporządzeniem tego wizerunku wydawało się, że moje życie, naskutek recydywy złośliwego schorzenia, niebawem dobiegnie końca. Ale uratowała mnie w r. 1923 sztuka chirurga — i pozostałem zdolny do życia i pracy, choć nie byłem już wolny od dolegliwości. W ciągu dziesięciu przeszło lat, które dzielą mnie od tego czasu, nie przestawałem pracować ana-

litycznie i ogłaszałem rzeczy drukiem, jak tego dowodzą, zamknięte tomem XII, moje „Pisma Zebrane" (nakładem Internationaler Psychoanalytischer Verlag w Wiedniu). Ale sam widzę różnicę wobec tego, co było. Nici, które w moim rozwoju się splotły, zaczęły się wzajemnie rozluźniać; nabyte później zainteresowania ustąpiły, a starsze, dawniejsze, znowu wystąpiły. Coprawda, w ciągu tego dziesięciolecia zająłem się niejedną poważną pracą analityczną, jak rewizją zagadnienia lęku — w rozprawie „Hamulce, Objaw i Lęk" (1926) — i udało mi się też w r. 1927 gładko wyjaśnić „fetyszyzm" seksualny. Ale przecież, po stwierdzeniu istnienia dwu rodzajów popędu (Erosa i popędu śmierci) i rozłożeniu osobowości psychicznej na jaźń, nad-jaźń i ono (1923), nie wniosłem już do psychoanalizy żadnego decydującego przyczynku, a co później napisałem — mogłoby bez szkody wcale nie istnieć, lub zostałoby niebawem dorzucone skądinąd. Wiązało się to u mnie z pewną przemianą, z nieco regresywnym rozwojem, jak to możnaby nazwać. Po przejściu drogą okólną, — co mi całe życie zajęło, — przez nauki przyrodnicze, medycynę i psychoterapję, zainteresowanie moje wróciło do zagadnień kultury, które ongi przyciągały młodzieńca, w którym ledwie budziła się myśl. Będąc już w połowie osiągnięcia szczytu pracy analitycznej, w r. 1912, spróbowałem w „Totem i Tabu" wyzyskać nowe analityczne zdobycze do zbadania źródeł religji i obyczajowości. Kontynuacją tego były dwa studja późniejsze, „Die

Zukunft einer Illusion" (1927) i „Das Unbehagen in der Kultur" (1930). Rozumiałem coraz jaśniej, że wydarzenia historji ludzkości, skutki wzajemne natury człowieczej, rozwoju kulturalnego i owych pozostałości przeżyć prastarych, których przedstawicielką chce być religja, są tylko odzwierciedleniem dynamicznych konfliktów między jaźnią, onem, a nadjaźnią, które psychoanaliza bada u poszczególnego człowieka, — tymi samymi przebiegami, powtórzonymi na dalszej scenie. W „Przyszłości pewnej iluzji" poddałem religję ocenie, która przeważnie wypadła ujemnie; później znalazłem wzór, co traktował ją sprawiedliwiej — mianowicie, że potęga jej, owszem, spoczywa na prawdzie, tylko że prawda ta nie jest materjalna, ale historyczna.

Te z psychoanalizy wychodzące, ale daleko poza nią wybiegające rozprawy, większy chyba znalazły oddźwięk u publiczności, niż sama psychoanaliza. Może też przyczyniły się one do powstania krótkotrwałej iluzji, że należę do autorów, których wielki naród, jak naród niemiecki, gotów jest wysłuchać. Tomasz Mann, jeden z najbardziej powołanych heroldów narodu niemieckiego, wyznaczył mi w r. 1929, w wyrazach zarówno treściwych, jak życzliwych, miejsce w współczesnej historji kultury. Później nieco, na ratuszu w Frankfurcie n/Menem, uroczyście przyjmowano moją córkę Annę, która zgłosiła się tam w mojem zastępstwie po odbiór przyznanej mi w r. 1930 nagrody im. Goethego. Był to punkt szczytowy mego życia obywatelskiego; krótko po-

tem zwęziła się nasza ojczyzna i naród nie chciał nas znać.

Tutaj pozwolę sobie zakończyć swoją autobiografję. Co pozatem dotyczy moich osobistych warunków, moich walk, rozczarowań i powodzeń, publiczność nie ma prawa dowiedzieć się czegoś więcej. Byłem i tak w niektórych swoich pismach — w „Interpretacji", w „Psychopatologji życia codziennego" — bardziej szczery i otwarty, niż to zwykle czynią ludzie, którzy opisują swoje życie współczesnym, albo dla potomności. Niebardzo mi za to dziękowano; sądząc ze swego doświadczenia, nie mógłbym radzić nikomu, aby wstąpił w moje ślady.

Jeszcze kilka słów o losach psychoanalizy w ostatniem tem dziesięcioleciu! Nie ulega już wątpliwości, że będzie ona nadal istniała. I jako terapja, i jako nauka, dowiodła ona swojej siły żywotnej i rozwojowej. Znacznie wzrosła ilość jej zwolenników, zorganizowanych w „Międzynarodowem Zjednoczeniu Psychoanalitycznem" (I.P.V). Do starszych ośrodków miejscowych, jak Wiedeń, Berlin, Budapeszt, Londyn, Holandja, Szwajcarja, przyłączyły się nowe — w Paryżu, Kalkucie, dwa w Japonji, dwa w Skandynawji, kilka w Stanach Zjednoczonych i ostatnio po jednym w Jerozolimie i w Afryce Południowej. Te grupy miejscowe utrzymują z własnych funduszów — lub starają się stworzyć — instytuty naukowe, w których nauczanie psychoanalizy odbywa się według jednolitego programu, oraz ambulatorja, gdzie doświadczeni analitycy za-

równo, jak ich uczniowie, bezpłatnie leczą niezamożnych. Członkowie I.P.V. spotykają się co dwa lata na zjazdach, na których wygłasza się odczyty naukowe i decyduje o sprawach organizacji. XIII z tych kongresów, w których sam nie mogę już uczestniczyć, odbył się w r. 1931 w Lucernie. Dążenia członków idą, od wspólnej wszystkim sprawy, w różnych kierunkach. Jedni kładą największy nacisk na zgłębienie poznania psychologicznego; inni dbają o związki z medycyną wewnętrzną i psychjatrją. Pod względem praktycznym postawiła sobie część analityków za cel: osiągnięcie uznania psychoanalizy przez uniwersytety i włączenie jej do programu nauczania medycyny; inni ograniczają się do działalności pozauniwersyteckiej i nie chcą pomniejszać lekarskiego znaczenia psychoanalizy dla większego jej znaczenia pedagogicznego. Od czasu do czasu zdarza się zawsze, że jeden z współpracowników analitycznych odosobnia się przy próbie wysunięcia jednego jakiegoś odkrycia lub punktu widzenia psychoanalitycznego, kosztem wszystkich pozostałych. Całość jednak sprawie przyjemne wrażenie poważnej pracy naukowej na wysokim poziomie.